ROK XVII NR 21 (862) ŁÓDŹ, 23 MAJA 1974 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ODGŁOSY

WKŁADKA Z WYBOREM WIERSZY Z OKAZJI 9 OGÓLNOPOLSKIEGO FESTIWALU POEZJI ► OD GUTENBERGA DO POLIGRAFII – Adam Nonas ► CENA WOLNEGO CZASU – Józef Penc ► STUDENCKIE BIURO MENAŻERÓW – Małgorzata Golicka ► POLAK–WĘGIER DWA BRATANKI – Zbigniew Korzeniowski ► KRYTYKA GRZECH PIERWORODNY – Konrad Frejdlich ► MIASTO GIGANT I JEGO PROBLEMY – Jerzy Czech ► DOM NIE-GASNĄCYCH ŚWIATEŁ – fotoreportaż Włodzimierza Parysa ► WIĘZIENIE – Georges Simenon ► RECENZJE ► FELIETONY ► KOMENTARZE ► POLEMIKI ► REPORTAŻE ► EROS W POEZJI

LOS I HISTORIA

Z WACŁAWEM BILIŃSKIM

rozmawia Lucjusz Włodkowski

— Czy podoba się Panu film Jana Łomnickiego „Nagrody i odznaczenia"?

— Mam określony stosunek do tego filmu. Widzę go niejako przez swoją książkę i ona często przesłania mi obraz filmowy, tym bardziej że mam wyobraźnię typowo wizualną.

Jedno jest dla mnie pewne, Jan Łomnicki posiada znakomite oko i ucho dokumentalisty i to mu bardzo pomaga w prowadzeniu akcji w filmie, w prowadzeniu aktora i przy odtwarzaniu realiów tamtego okresu. Nie ma zastrzeżeń co do sposobu widzenia przez Łomnickiego tamtej epoki, może z wyjątkiem obrazu retrospekcji desantu na płycie czerniakowskiej, który wydaje mi się inny na kartach książki i inny — na ekranie.

Ale tak naprawdę, to nie potrafię należycie ocenić tego filmu, już choćby dlatego, że pamiętam męki porodowe, w jakich przychodził on na świat.

— Film początkowo miał mieć inny tytuł.

— „Szpital nieznanego żołnierza". Żałuję zresztą, że wcześniej nie wpadłem na ten pomysł i nie wymyśliłem tego tytułu dla książki, bo przyzna pan, że jest to ładny tytuł.

— „Nagrody i odznaczenia" to drugi Pana film?

— Pierwszy był „Raj na ziemi".

— Ale ma Pan w swoim dorobku książkę, która jest niemal gotowym scenariuszem. Myślę o „Boju". Czy nigdy nie miał Pan propozycji zekranizowania tej książki?

— Były takie próby, ale nic z tego nie wyszło, być może dlatego, że tę problematykę — walkę Wojska Polskiego z bandami UPA — załatwił w jakimś stopniu „Ogniomistrz Kaleń".

— „Bój" ukazał się jednak wcześniej od „Łun w Bieszczadach".

— Wcześniej. Jan Gerhard był zresztą redaktorem „Boju" i być może pracując nad moją książką, a brał przecież udział w walkach w Bieszczadach, uświadomił sobie, jaki to pasjonujący temat.

— „Bój" był Pana literackim debiutem?

Dalszy ciąg na str. 11

DOM NIE GASNĄCYCH ŚWIATEŁ

Patrz str. 5

JACEK INDELAK

NAD BALIĄ Z PRANIEM

— Co to jest?!

— Jak to co? Spodnie!

— To dlaczego takie brudne?

— Proszę pani, gdyby nie były brudne. to nie przynosiłbym ich do pralni.

— Panie, jak żeś pan tak zapaprał spodnie, to je sam pan sobie pierz!...

Takiej — mniej więcej — treści rozmowa, zakrawająca na niezłą anegdotę, na wskroś jednak autentyczna, odbyła się między klientem a ekspedientką jednego z łódzkich punktów pralniczych.

Obrazek ten — doskonale ilustrujący poziom usług pralniczych nie tylko w Łodzi — przypomniał mi się podczas rozmowy z jednym z najwybitniejszych specjalistów od tej dziedziny usług — doc. drem **J. Kalinowskim** z Wydziału Włókienniczego Politechniki Łódzkiej, współtwórcą i opiekunem jedynego w Polsce kierunku konserwacji wyrobów włókienniczych, jaki przed paroma laty uruchomiono w ramach wspomnianego wydziału. Opowiedziałem docentowi tę historyjkę.

— Źle się dzieje w naszym pralnictwie — powiedział. Tego rodzaju scenki są najbardziej ewidentnym przejawem kiepskiej jakości usług pralniczych. U podłoża złej jakości leży wiele czynników, tkwiących głęboko już w samym modelu organizacyjnym. Nie tak dawno dziennikarze „Głosu Robotniczego" podjęli z mojej inspiracji ten temat, ukazując w doskonale napisanym artykule niektóre źródła zła i drogi naprawy. O pralnictwie, jego stanie obecnym i perspektywach powinno się mówić jak nawięcej i jak najgłośniej , wszystko bowiem wskazuje na to, że znalazło się ono w impasie. Wybrnąć z tego można, lecz rozwiązania trzeba szukać tylko i wyłącznie w zakrojonych na szeroką skalę, uwzględniających cały kompleks zagadnień decyzjach i idących w ślad za nimi — działaniach szybkich i radykalnych...

Skoro mowa o skali: przytoczona na wstępie rozmowa odbyła się wprawdzie w łódzkiej pralni, z powodzeniem jednak mogła mieć miejsce w każdym z zakładów pralniczych, spośród 600 rozmieszczonych po całym kraju. Wszędzie bowiem — pominąwszy nieliczne wyjątki, potwierdzające, rzecz jasna, regułę, usługi pralnicze reprezentują mierny, jeśli nie żałosny wręcz poziom.

PO ERZE BALII I PRALKI

Podstawowym wymaganiem, jakie stawia — od dawna już — współczesność przed tą dziedziną usług, jest jej charakter przemysłowy. Tymczasem większość zakładów pralniczych w naszym kraju bardziej przypomina warsztaty rękodzielnicze, niż przedsiębiorstwa

Dalszy ciąg na str. 6

RZEKI NA MARSIE

Mars — sąsiad Ziemi — znajduje się o ponad 80 milionów kilometrów dalej od Słońca. Jest to glob o średnicy (6.788 km) prawie dwukrotnie większej od Księżyca (3.475 km) i dwukrotnie mniejszej od Ziemi (12.754 km), który pod wieloma względami podobny jest do obu tych planet.

Mars wykonuje całkowity obrót dookoła swej osi w ciągu 24 godzin; nachylenie osi planety wynosi 25 stopni, a nachylenie osi Ziemi — 23, 5 stopnia. Daje to nie tylko identyczną długość nocy i dni, ale także podobne pasy klimatyczne i pory roku, z tym, że te ostatnie są dłuższe, ponieważ rok marsjański ma 687 naszych dni. Niejednakowa jest odległość orbity Marsa od Słońca przy czym różnice odległości dochodzą do prawie 43 milionów kilometrów. Powoduje to, że lato na półkuli południowej i zima na półkuli północnej są bardziej ciepłe niż te same pory roku na przeciwnych półkulach.

Temperatury na powierzchni planety wahają się od plus 32 stopni Celsjusza w strefie podzwrotnikowej latem — do 100 stopni Celsjusza (i mniej) w zimie. Przyciąganie na Marsie równe jest 2/5 przyciągania ziemskiego, w związku z czym poważna część atmosfery uciekła w przestrzeń kosmiczną. Atmosfera, którą Mars posiada, składa się w 90 procentach z dwutlenku węgla oraz z niewielkiej ilości tlenu, ozonu oraz prawdopodobnie azotu i argonu. Powietrze zawiera także nieznaczną ilość pary wodnej.

W zasadzie nie stwierdzono na Marsie istnienia wody w stanie ciekłym. Jednakże na zdjęciach powierzchni planety wykonanych przez sondy kosmiczne, w tym „Marinera 9" — wyraźnie widać formacje erozyjne, które swym wyglądem przypominają ziemskie rzeki, jednakże bez wody. Jedna z takich „rzek" posiada sieć „dopływów" i ma długość ponad 570 kilometrów. Jej „ujście", szerokie na 5,5 kilometra, łączy się z rozległym zagłębieniem terenu.

Inne struktury erozyjne, jak na przykład dwa sąsiadujące z sobą baseny, każdy około 480 kilometrów szerokości, połączone są z wieloma kanałami rzecznymi. Musiały one być wypełnione w czasie, gdy woda płynęła tymi kanałami. Na brzegach basenów wyraźnie widać piaszczyste i kamieniste plaże.

Wypełnienie takich basenów wymaga ogromnych ilości wody, a ta nie może występować bez istnienia odpowiednio gęstej atmosfery. Co się stało z wodą na Marsie i jak może się ona znowu pojawić? Na pytanie te są dwie prawdopodobne odpowiedzi.

Aby zrozumieć pierwszą z nich, trzeba wpierw wyjaśnić sobie tzw. zjawisko precesji które daje zmianę kolejności pór roku. Wiadomo, że nachylenie osi Marsa równa się 25 stopni. Nachylenie to jest wynikiem niejednakowego przyciągania różnych części planety przez Słońce, oraz inne ciała niebieskie. Skutkiem tego oś Marsa zatacza stożek, przy czym jeden pełny obrót osi trwa 50 tysięcy lat. Podobnie zachowuje się wirujący bąk; zupełnie wyraźnie obrót osi bąka widać na chwilę przed jego przewróceniem się. Otóż taki obrót osi planety oznacza, że znajdując się w którymkolwiek punkcie swej orbity będzie ona nachylała ku Słońcu ten ze swych biegunów, który był od Słońca oddalony, kiedy planeta znajdowała się w tym samym miejscu (na orbicie okołosłonecznej) jakiś czas przedtem. W odpowiednio długim czasie następuje odwrócenie kolejności nachylenia biegunów, a w konsek-

Dalszy ciąg na str. 6

CIESZYĆ SIĘ CZY SMUCIĆ

Telewizja pokazała scenkę: oto kilkusetosobowy tłum czeka od północy na otwarcie... księgarni, w której mają sprzedawać jednotomową Encyklopedię Powszechną. Oczekujący samorzutnie sporządzają listę kolejności. Tak więc ideał sięgnął bruku — ludzie na książki zapisują się jak na meble.

Dziennikarz komentujący to wydarzenie podał parę liczb. Oto wydrukowano 70 tysięcy egzemplarzy owej kolorowej encyklopedii, w pierwszym rzucie wydrukuje się 100 tysięcy, a potem będzie się drukowało następne wydania.

Bardzo dobrze, ale wiadomo, że dotychczasowe wydania encyklopedii nie zaspokajają popytu, choć ich nakłady przekraczały 100 tysięcy egzemplarzy. Czemu więc nie ustalono podstawowego nakładu od razu na milion egzemplarzy?

I w ogóle, czy jest to sprawa, która nas powinna cieszyć? Czy powinniśmy wpadać w euforię, że ludzie chcą dobrej informacyjnej encyklopedii? To przecież wiadomo od lat — poprzednie edycje mogły już nas do tego przyzwyczaić. Więc raczej smutkiem napawa fakt, że ludzie stoją w kolejce od godziny dwunastej w nocy, aby za kilkaset złotych kupić Encyklopedię Powszechną. Powinni przecież normalnie — bez tłoku, kolejek, list obecności — pójść do najbliższej księgarni o dogodnej dla siebie porze i kupić.

Nie wpadajmy w euforię z powodu zjawisk oczywistych. Nie jest bowiem sloganem fakt, że w naszym kraju książka jest artykułem pierwszej potrzeby, jak chleb. To oczywistość, która jest zdobyczą Polski Ludowej, jej pięknym, humanistycznym osiągnięciem. Po cóż więc te smaczki i ta sensacyjność wydarzenia pod drzwiami jednej warszawskiej księgarni?

Czy nie prościej zapytać planistę ustalającego nakład, co wie na temat popytu na encyklopedię, czy czyta sprawozdania handlowe Domu Książki... Zamiast cieszyć się sensacyjną kolejką po książki — trzeba się martwić sztywnością i asekuranctwem wydawców encyklopedii.

JERZY WILMAŃSKI

500-LECIE DRUKARSTWA POLSKIEGO

OD GUTENBERGA DO POLIGRAFII

Wędrowny drukarz z Bawarii, Kasper Straube, wytłoczył w roku 1474 w Krakowie ścienny kalendarz astronomiczno-astrologiczny. W rok później powstała pierwsza w Polsce książka — Franciszka de Plate'a „Opus restitutionem". Nieprzerwany rozwój polskiego drukarstwa datuje się od 1503 roku, kiedy to krakowski kupiec, księgarz i wydawca, Jan Haller, zakłada stałą oficynę, z której wyszła pierwsza drukowana w języku polskim książka „Raj duszny" Biernata z Lublina.

Wkrótce dołączają do niego **Florian Ungler, Hieronim Wietor** oraz **Maciej** i **Marek Szarffenbergowie.** W 1548 roku istniało w Krakowie już dziewięć drukarń, a w innych miastach — dalszym osiem. Drukarze ci położyli duże zasługi dla polskiej kultury. Oficyna **Hallera** wydawała podręczniki uniwersyteckie, dzieła Miechowity, „Statut Jana Łaskiego". Oficyna **Unglera** szczyciła się największą ilością ksiąg drukowanych w języku polskim. Wietor z kolei wykazał wielką inicjatywę — wydając książki w kilku językach. On też wprowadził odrębny polski krój czcionek — ozdobną kursywę. Drugą taką próbę podjął pierwszy rdzennie polski drukarz, **Jan Januszowski,** przyjaciel Jana Kochanowskiego i wydawca jego dzieł. Usiłował on też ustalić jednolity system ortografii polskiej.

Do rozprzestrzenienia się druku w całej Rzeczypospolitej przyczyniła się reformacja. Powstawały wówczas drukarnie wielu odłamów różnowierczych pozostających pod opieką magnatów. Silnym ośrodkiem wydawniczym stał się Królewiec, gdzie drukowano pierwsze w języku polskim śpiewniki, biblie, a także utwory Mikołaja Reja. Przez pewien okres wyróżniała się też drukarnia Akademii Zamoyskiej.

Wiek XVII to okres upadku nie tylko politycznego. Przynosi likwidację tłoczni innowierców, powstają głównie drukarnie przy zakonach. Działają też tylko nieliczne warsztaty mieszczańskie. Dopiero w okresie oświecenia następuje ponowny rozkwit drukarstwa, które skupia się teraz na stałe w Warszawie.

Po zastoju spowodowanym rozbiorami drukarnie znów podjęły działalność. W końcu XVIII i w początkach XIX w. drukarstwo przekształciło się w rzemiosło, a następnie w przemysł w dużym stopniu zmechanizowany. Datą przełomową był dzień 29.XI.1814 r. kiedy to wydrukowano w Londynie cały nakład „Timesa" na szybkobieżnej dwuobrotowej maszynie drukarskiej. W Polsce pierwszą taką maszynę zainstalowano w 1833 roku w Banku Polskim w Warszawie. Dalszy szybki rozwój drukarstwa następuje w II połowie XIX w. i wówczas już ze względu na wielostronność stosowanych technik możemy mówi o poligrafii.

W Łodzi za początek drukarstwa uważa się rok 1830. Dziś, po blisko stu latach od tego momentu miasto osiągnęło rangę drugiego ośrodka poligraficznego w kraju. Zatrudnia on około 5 tys. osób, a roczna produkcja przekracza 30 mln egz. Drukarnie tu działające osiągnęły wysoki stopień specjalizacji i liczą się poważnie na rynku krajowym. Sześć z nich podlega Zjednoczeniu Przemysłu Poligraficznego. Cztery w Łodzi: **Łódzka Drukarnia Akcydensowa, Łódzkie Zakłady Graficzne, Łódzkie Zakłady Typograficzne, Łódzka Drukarnia Dziełowa** oraz dwie w województwie: **Tomaszowska Drukarnia Akcydensowa** i **Pabianickie Zakłady Graficzne.**

Zakłady w **Pabianicach** zmonopolizowały druk popularnych bloczków kalendarzy ściennych — nakład blisko 5 mln egz. oraz specjalizują się w tzw. heksografii czyli opakowaniach na produkty. **Drukarnia Tomaszowska** — to przede wszystkim druki drobne, a także opakowania na różne artykuły. **Łódzkie Zakłady Typograficzne** od lat przygotowują druki dla handlu zagranicznego. **Łódzka Drukarnia Akcydensowa** wykonuje m. in: opakowania do płyt i kalendarze „Tono". **Łódzkie Zakłady Graficzne** wyspecjalizowały się w druku piękną techniką rotograwiurową.

Łódzką Drukarnię Dziełową bez przesady można nazwać pałacem sztuki drukarskiej. Niemal 100 proc. jej produkcji stanowią książki. Nie ma w Polsce drugiej takiej drukarni o tak czystym profilu produkcyjnym. Rocznie daje 13 mln. egz. książek, a więc ponad milion miesięcznie!

Drukarnia należy do najnowocześniejszych w Polsce. W widnych, przestronnych halach pracują maszyny będące przeglądem najnowszych osiągnięć przemysłu światowego: linotypy z ZSRR i NRF, sterowane elektronicznie szwajcarskie maszyny introligatorskie, oprawiające 3 tys. książek w ciągu godziny, wreszcie ostatni krzyk techniki — jedyna tego typu w Polsce szwedzka maszyna offsetowa „Solna", mogąca w ciągu godziny wydrukować 20 tys. egz. książek w czterech kolorach.

Nowoczesne maszyny trafiają także do innych drukarń, zarówno wspomnianych już wyżej, jak i nie wymienionych np. drukarni Wydawnictw Pedagogicznych i Szkolnych, monopolisty w zakresie druku podręczników czy Prasowych Zakładów Graficznych.

W naszym regionie w latach 1976—1980 przewiduje się budowę zakładu odtworzeniowego dla Łódzkiej Drukarni Akcydensowej, która stanie się nowoczesnym zakładem produkującym opakowania, centralnego magazynu papierniczego dla drukarń łódzkich, pomieszczeń dla oddziału Ośrodka Badawczo-Rozwojowego Przemysłu Poligraficznego i centrali druków akcydensowych. Po roku 1980 powstanie zakład odtworzeniowy dla ŁZG.

ADAM NONAS

NOTY i OPINIE

NAGRODY — dorocznym zwyczajem — przyznał minister gospodarki terenowej i ochrony środowiska. Przyznano trzy nagrody pierwszego stopnia. Otrzymali je:

— Zespół Biura Projektów Budownictwa „WAR-CENT" za koncepcję zachodniego rejonu centrum Warszawy. Zespołem kieruje architekt **Jerzy Skrzypczak.**

— Zespół Biura Projektów Budownictwa Komunalnego w Łodzi za wodociąg Sulejów — Łódź. Zespołem kieruje inż. **Zdzisław Wlazłowicz.**

— Twórcy laserowych instrumentów geodezyjnych — **Stanisław Pachut i Ryszard Kościelewski.**

Przyznano również 11 nagród drugiego stopnia.

Minister **Jerzy Kusiak** wręczył też nagrodę honorową zespołowi z „Miastoprojektu — Kraków" za twórczy wkład w opracowanie planu ogólnego Bagdadu.

▲ PIERWSZE DNI TECHNIKI regionu łódzkiego zorganizował Oddział Wojewódzki NOT. W ramach dni przyznano doroczne nagrody MISTRZA TECHNIKI. W tym roku przyznano dwie równorzędne nagrody pierwszego stopnia. Otrzymali je: zespół ŁÓDZKIEJ FABRYKI MASZYN JEDWABNICZYCH „MAJED" oraz zespół PABIANICKICH ZAKŁADÓW FARMACEUTYCZNYCH „POLFA".

Przyznano też pięć nagród drugiego stopnia oraz pięć wyróżnień.

▲ 25 MAJA przypada pierwsza w tym roku wolna sobota. Ustalono już sposób funkcjonowania handlu, usług, służby zdrowia, komunikacji i poczty w wolną sobotę. Przyjęto zasadę, że jest to dzień wolny od pracy ale nie dla wszystkich. Tego dnia pracować będą sklepy i urzędy pocztowe w skróconym czasie. Gastronomia — jak w dzień powszedni. Czynne będą też niektóre punkty usługowe.

Ci wszyscy, którzy w wolną sobotę będą ułatwiali życie innym, swój wolny czas otrzymają w późniejszym terminie.

▲ WARSZAWSKI TEATR STUDIO pokazał na florenckim festiwalu „DANTEGO" — widowisko oparte na „Boskiej komedii". Po sukcesie we Florencji „Dantego" można już oglądać w Warszawie. Scenariusz reżyseria i scenografia — **Józef Szajna.** Muzyka — **Krzysztof Penderecki.**

▲ WYTWÓRNIA FILMÓW OŚWIATOWYCH w Łodzi pokaże na tegorocznym festiwalu w Krakowie 8 filmów. Między innymi znajdą się w Krakowie: **„Józef Mehoffer"** Bohdana Mościckiego, **„W osowej sieni"** Kazimierza Muchy, **„Miasteczko na warsztacie"** Władysława Wasilewskiego i Stanisława Mroziuka, **„Wieczerza"** Andrzeja Szczygła, Stanisława Mroziuka i Zbigniewa Pierzkiewicza, oraz **„Tren dla miasta Szydłowa"** Bogdana Dziworskiego.

▲ NA XIV KALISKICH SPOTKANIACH TEATRALNYCH przyznano nagrodę **Markowi Bargiełowskiemu** za rolę Hamleta, **Ryszardowi Stogowskiemu** za rolę Lucky'ego w „Czekając na Godota", **Jadwidze Andrzejewskiej** za rolę matki w „Matce Courage" oraz **Janowi Maciejowskiemu** za reżyserię „Hamleta". Wszystkim kaliskim laureatom serdecznie gratulujemy!

▲ „DWIE PRAWDY" — to tytuł serii, jaką przygotowuje PAX, a która obejmie utwory wybrane **Melchiora Wańkowicza.** Całość ma ukazać się w ciągu pięciu lat. Tom pierwszy tej serii prezentował PAX w ostatnią niedzielę kiermaszową na swoim stoisku w Warszawie.

▲ FILHARMONIA ŁÓDZKA będzie miała nową siedzibę. Stanie ona między ulicą Nawrot a parkiem Sienkiewicza. Autorem przyszłego budynku FŁ jest mgr inż. arch. **Witold Millo.** Otrzymał on pierwszą nagrodę na konkursie zorganizowanym przez SARP na zlecenie Urzędu Miasta Łodzi.

Po opracowaniu dokumentacji technicznej, przystąpi się do budowy nowego gmachu Filharmonii Łódzkiej — jak się przewiduje — w 1976 roku. Jej zakończenie planuje się na 1980 rok.

▲ W KINIE „OKA" odbył się przegląd filmów o tematyce górskiej. Zorganizował ten przegląd Akademicki Klub Turystyki Górskiej. Pokazano filmy polskie i zagraniczne.

Na brak festiwali i przeglądów filmowych narzekać nie możemy, a jednak przydałby się Łodzi festiwal z prawdziwego zdarzenia, tym bardziej, że w końcu jesteśmy poważnym ośrodkiem produkcji filmów. Wprawdzie inicjatywa Akademickiego Klubu Turystyki Górskiej nic wspólnego z festiwalem nie ma, ale trudno nie oprzeć się zdziwieniu, że filmy o sztuce wozi się do Zakopanego, a na pomysł obejrzenia tego co nakręcono o górach wpadli ludzie w nizinnej Łodzi.

▲ TRZY REDAKCJE POPOŁUDNIÓWEK: warszawskiego „Expressu Wieczornego", katowickiego „Wieczoru" i krakowskiego „Echa Krakowa" postanowiły zorganizować „Przydziestolecie z przyjaciółmi". Zaproszono do Warszawy redaktorów naczelnych popołudniówek z kraju i z kilku miast bratnich krajów socjalistycznych.

Na spotkanie przyjaciół stawili się przedstawiciele popołudniowych gazet Moskwy, Leningradu, Kijowa, Doniecka, Berlina, Lipska, Pragi, Sofii, Bukaresztu i Budapesztu.

▲ STUDENCI ŁODZI zorganizowali doroczne, akademickie święto wiosny — „Juvenalia — 74". Były więc zabawy, spotkania dyskusje, przeglądy dorobku teatrów studenckich i wiele innych rzeczy ciekawych, ucieszych i pożytecznych.

▲ ZANIM RUSZYSZ W TURYSTYCZNĄ PODRÓŻ przypomnij sobie najważniejsze przepisy celne. Dokładnych informacji udzieli każda placówka celna.

Turyści mogą bez cła wywozić jedzenie, papierosy oraz przedmioty przeznaczone na upominki, pod warunkiem, że ich rynkowa wartość nie przekracza 2 tys. zł. Mięsa można np. wywieźć 2 kg. czekolady — 1 kg. a papierosów — do 250 sztuk.

Turysta może zabrać ze sobą za granicę dwa aparaty fotograficzne, w tym jeden filmowy oraz po 10 rolek taśmy filmowej czy fotograficznej. Może zabrać turystyczny radioodbiornik, magnetofon i pięć rolek taśmy.

Turysta może też zabrać z sobą tysiąc złotych, ale musi je wpisać do deklaracji celnej i móc rozliczyć się, gdyby wydał je w środkach komunikacji krajów RWPG lub Jugosławii. Do deklaracji celnej nie zgłasza się pieniędzy przeznaczonych do wymiany w krajach tranzytowych.

Najlepiej jednak — żeby nie mieć kłopotów — upewnić się u celnika, co wolno, a czego nie wolno. Z góry jednak wiadomo, że celnicy i tego roku będą mieli sporo kłopotów z naszymi turystami.

▲ WĘDRUJĄCE TARGOWISKO. Los targowiska „Czerwony Rynek" jest znakomitym dowodem rozwoju miasta. Po latach egzystencji targowisko na Czerwonym Rynku, przeniesiono na plac u zbiegu ul. Obrońców Stalingradu i Towarowej. Obecnie przenosi się je na ulicę Mierzyńskiego przy ul. Fucika. Z Czerwonego Rynku trzeba było je eksmitować, gdyż powstaje tam — jak i przy dworcu Chojny — nowe osiedle. Widać lokalizacja sprzedaży bazarowej przy zbiegu ulicy Towarowej i Obrońców Stalingradu nie była najszczęśliwsza, skoro znów „pchli targ" przenosi się w inne miejsce.

Pomijając różne względy, tego typu bazar jest jednak pożyteczny i nie wstydzą się takich targów nawet stolice innych państw. Zresztą Warszawa też ma taki bazar.

cjiyiifwyomlnnmó

▲ PIĄTY OGÓLNOPOLSKI KONKURS POETYCKI im Jana Piętaka ogłosiło aż siedmiu organizatorów, którzy też ufundowali nagrody: „Złoty Klucz", tytuł Honorowego Obywatela Zamku Świdwińskiego i 5 tys. zł jako główną nagrodę, oraz 3 wyróżnienia po 3 tys. zł i nagrodę publiczności w wysokości tysiąca zł.

Kto chciałby podjąć walkę o te nagrody, ten powinien w terminie do 30 września 1974 r. przesłać pod adresem: 78-300 SWIDWIN — ZAMEK, Urząd Powiatowy Wydział Oświaty i Wychowania, Kultury, Kultury Fizycznej i Turystyki (koniecznie dopisek: „KONKURS POETYCKI") do 5 utworów o dowolnej tematyce i wielkości. Mogą być również poematy. Życzymy powodzenia.

25 LAT „ESTRADY ŁÓDZKIEJ"

Modny był kiedyś szlagier o piosence, która „zapomniana pójdzie do Artosu...". Właśnie „Artos" był u początków państwowej działalności estradowej w Polsce — i było to 25 lat temu. Tak więc i „Estrada Łódzka" liczy 25 lat. Jubileusz wcale niemały.

Jeśli dziś spojrzeć na to ćwierćwiecze działania łódzkiej „Estrady", w kąt idą wszelkie doraźne pretensje o jakiś nieudany koncert czy małe potknięcie. Jeśli spojrzeć na to ćwierćwiecze, uświadamiamy sobie raptem, że dzięki „Estradzie" widzowie Łodzi i województwa mogli oglądać na przykład słynną „Laternę Magica", wielką rewię japońską, Zespół Pieśni i Tańca im. Aleksandrowa. To „Estrada" sprowadziła do Łodzi Ymę Sumac (tak! tak!), Juliette Greco, Tino Rossi, Dalidę, Paula Ankę, Jana Kiepurę... Dzięki „Estradzie" grały w Łodzi słynne orkiestry Glenna Millera i Karela Vlacha...

Oceniając bez uprzedzeń działalność „Estrady Łódzkiej" musimy sobie uświadomić, że powstały tu dziesiątki programów, które obejrzało 16 milionów widzów Łodzi, ziemi łódzkiej i kieleckiej... Organizowano tu na przykład wielkie imprezy plenerowe, ukazujące tradycje walk Polaków o wolność narodową i społeczną — od powstania Wielkiego Proletariatu aż po zakończenie II wojny światowej. Widzowie pamiętają wielkie widowiska „Biało-czerwona", „Ballada o nich i o nas", „Tak było", „Gdy świtał brzask wolności"...

Aktualnie weszły na stałe do repertuaru Estrady Łódzkiej koncerty „Ludziom dobrej roboty", dedykowane przodownikom pracy socjalistycznej, adresowane do załóg robotniczych, pozwalające na publiczne wyróżnienie działaczy i przodowników pracy, kształtujące emocjonalne zaangażowanie w efektywność osiągnięć produkcyjnych.

A z drugiej strony organizuje się kameralne imprezy poświęcone upowszechnianiu kultury muzycznej pn. „Klubowe" Wieczory Muzyczne". Cykliczność tych imprez pozwala na stały kontakt z widownią, umożliwia konsekwentną politykę repertuarową, wprowadzanie coraz trudniejszych w odbiorze dzieł muzycznych. Jest to prawdziwa szkoła kształcenia smaku odbiorcy.

W tym wachlarzu imprez — od wielkich widowisk po kameralne koncerty muzyczne — mieści się także rozrywka kabaret, typowa estradowa składanka, ale mieści się także ambitny monodram, choćby „Tydzień jak tydzień" Barbary Wałkówny, mówiący o codziennych troskach i radościach pracującej kobiety.

Szkoda tylko, że ten ostatni program nie wzbudził jakoś zainteresowania przedstawicieli rad zakładowych łódzkich przedsiębiorstw. „Estrada" zaprosiła ich około setki na „testowy" spektakl monodramu, przyszło... czterech. A przecież Łódź jest miastem pracujących kobiet!

A jednak mimo wielu rozlicznych trudności, mimo setek codziennych kłopotów ze sprzętem, lokalem (właściwie... brakiem lokalu), realizacją imprez — „Estrada Łódzka" prowadzi od ćwierć wieku swoją trudną, a często i pionierską działalność. W przygotowaniu są koncerty na 30-lecie — „Rapsod o Ojczyźnie", „Strefy walki". Przygotowuje się nowy program kabaretu „Kpiarz", powstała koncepcja „Kinokabaretu", będącego czymś w rodzaju sygnału reklamowego programów „Estrady".

W drugie ćwierćwiecze swojej działalności wchodzi „Estrada Łódzka" z bagażem doświadczeń i osiągnięć, których nie są w stanie przekreślić doraźne kłopoty i potknięcia.

TAJEMNICA MATRYC

Niedawno znaleziono w Warszawie, w piwnicy domu przy ul. Karola Wójcika na Pradze 60 matryc wielobarwnych rysunków satyrycznych z okresu drugiej wojny światowej. Warszawska popołudniówka „Express Wieczorny" zwróciła się do Czytelników z prośbą o pomoc w rozwiązaniu tej zagadki. Redakcja otrzymała około 100 telefonów i listów, na podstawie których ustalono, że znalezione na Pradze matryce wykonane zostały w 1945 roku w Goettingen. Rysunki, na podstawie których zrobiono matryce powstały znacznie wcześniej i ich autorem jest **Stanisław Toegel.**

Stanisław Toegel debiutował przed wojną we Lwowie. Tam też ukazał się jedyny jego album karykatur. Dalszej pracy przeszkodziła wojna. Karykaturzysta był oficerem, zbiegł z obozu jenieckiego, przebywał w Warszawie. Po powstaniu warszawskim znalazł się w obozie jenieckim i tam też stworzył obszerny zestaw karykatur, które w 1946 roku wydał w Hamburgu, działający tam, polski wydawca **Antoni Markiewicz.**

W Hamburgu ukazały się 3 albumy karykatur Stanisława Toegela: **„Hitleriada Furioza", „Hitleriada Macabra"** i **„Polski wojak na obczyźnie".**

Stanisław Toegel powrócił do Polski w 1947 roku. Osiadł w Bytomiu, gdzie też zmarł w 1953 roku i tam jest pochowany. Pozostałe po nim rysunki satyryczne, obrazy i karykatury powinny znaleźć się w Muzeum Karykatury, jakie ma powstać w Warszawie z inicjatywy Eryka Lipińskiego.

Nadal jednak — jak pisze „Express Wieczorny" — nie wiadomo, **w jaki sposób matryce z Goettingen dostały się na Pragę w Warszawie?**

M. R.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji).
Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

HISTORIA SALONOWA

Dobrze wiadomo, że książki poświęcone tematyce warszawskiej cieszą się w kraju ogromnym zainteresowaniem. W pogoni za nowymi tytułami wydawnictwa nasze chwytają w lot właściwie niemal wszystko, co kto gdziekolwiek napisze: interes się opłaca i z góry można się spodziewać, że książka będzie miała zarówno licznych czytelników, jak życzliwych recenzentów, którzy zwrócą na nią swoją uwagę. W tych warunkach oprócz prac dobrych, łatwo jest ogłosić książkę po prostu mierną, nie dopracowaną, zwłaszcza, kiedy dotyczy ona tematu ważnego i interesującego. Tak też stało się z dziełkiem p. **Heleny Michałowskiej pt.: „Salony artystyczno-literackie w Warszawie 1832—1860"**, ogłoszonym przez redakcję Varsavianów warszawskiego PWN (1974).

Uważam to dziełko za nieudane nie dlatego, że zostało ono poświęcone akurat temu, nie zaś innemu zagadnieniu. Wiadomo, jak istotną rolę w życiu intelektualnym nie tylko Warszawy odgrywały w dobie międzypowstaniowej salony literackie, będące swego rodzaju surogatem nie istniejących wówczas innych instytucji życia kulturalnego, toteż nikomu nie przyjdzie do głowy protestować przeciw wysiłkowi, zmierzającemu do ukazania **„funkcji i roli salonów na przestrzeni kilkudziesięciu lat w powiązaniu z wpływem, jaki wywarły one na rozwój kultury umysłowej epoki".**

Tym, co w pracy p. H. Michałowskiej drażni, jest brak precyzji sformułowań, naiwności interpretacyjne, a niekiedy i zwyczajne błędy. Bo gdy na wstępie autorka dowodzi, że w latach 1832—1860 była Warszawa **„centrum kulturalnym kraju"**, że jej rola była bez porównania większa, niż takiego ośrodka **„jakim było w tym samym okresie Wolne Miasto Kraków"** czytelnik zaczyna się zastanawiać, czy aby zna ona szkolny podręcznik historii, w którym jak byk powiedziano kiedy Kraków przestał być Wolnym Miastem.

Kiedy autorka z niezmierną drobiazgowością opisuje nam wnętrza salonów, kształt kanap, serwantek i tym podobnych elementów wystroju, by zaraz przejść do równie szczegółowego opisu damskich toalet i męskich strojów, ni stąd, ni zowąd raczy nas takim zdaniem: **„Frak był częściej używany niż obecnie".** Doprawdy odkrycie godne uwiecznienia! Zresztą bynajmniej nie jedyne. Kiedy autorka opowiada, jak w salonach zajmowano się krytyką literacką, na dowód, że **„szlif utworu i ocena miały duże znaczenie dla autora"** przytacza zdanie L. Lubieńskiego wypowiedziane **„w chwili ukazania się Mieszanin Obyczajowych pióra H. Rzewuskiego"**, które brzmiało: **„Wszyscy są za wolnością druku, jak tylko cokolwiek kto napisze co by było przeciwnym opinii, natychmiast wszyscy przeciw niemu** powstają. **Cenzura naszej opinii (...) daleko surowsza (jest), jak cenzura rządowa".** Co te słowa mają wspólnego ze „szlifem utworu" pojąć nie potrafię, natomiast mam wątpliwości, czy autorka kiedykolwiek przeczytała wspomniane dzieło autora „Pamiątek Soplicy", bo gdyby tak było, musiałaby dostrzec, iż hr. Leon Łubieński narzekając na surowość „cenzury opinii" dyskutował z bardzo wówczas powszechnym oburzeniem na treść tego arcyreakcyjnego w swej wymowie dzieła!

Autorka postawiła sobie cel ambitny: ukazanie wpływu warszawskich salonów na **„rozwój idei postępowych i społecznych".** Już samo to sformułowanie bawi osobliwym zestawieniem słów, ale uznajmy to za niefortunność stylistyki. Jednakże zachwyt nad tym, jak to w salonach **„spotykali się tzw. ówcześnie ludzie „niskiego pochodzenia", wśród nich K. Libelt — syn szewca, T. Lenartowicz — syn majstra mularskiego (...)"** budzi nie tylko uśmiech. Nie dlatego, że ojciec T. Lenartowicza, podupadły szlachcic, ongiś — jak powiadał sam poeta — „kapitan pod Kościuszką", był właścicielem przedsiębiorstwa budowlanego (i z tej racji musiał zdobyć patent mistrza), co niezupełnie kwalifikuje go do niemal „proletariatu", jakby mniemała p. H. Michałowska. Dlatego, że trzeba sobie zupełnie nie zdawać sprawy z tego, jaką rolę odgrywali zarówno K. Libelt, jak T. Lenartowicz w okresie międzypowstaniowym by sobie wyobrażać, że przyjmowano ich w salonach jako ludzi „niskiego pochodzenia". A to, że tego p. H. Michałowska nie rozumie, zasmuca bardziej, niż gdyby nam mylnie opisała sposoby wiązania wstążek na kapeluszach.

Nie wspominam już o innych sprawach, jak np. o tym, że bardzo mało p. H. Michałowska powiedziała nam o salonowej aktywności H. Rzewuskiego, o której informują jego własne, nie drukowane listy. Zapomniała też wymienić go w podsumowaniu wśród literatów, uczęszczających do warszawskich salonów. Nie dziwne to: hrabia Henryk niewątpliwie nie był postępowcem i jego obecność w salonach utrudniałaby autorce modelowanie ich na „postępowo". A przecież dysponowała wcale obfitym materiałem, wystarczającym do wykazania, że w salonach warszawskich w okresie międzypowstaniowym ścierały się różne idee. Na pewno więcej o ideowej atmosferze tej specyficznej instytucji życia kulturalnego, niż niezbyt przekonywające wywody, powiedziałaby nam analiza faktu bojkotu towarzyskiego, z którym spotkał się H. Rzewuski także i na tym obszarze po opublikowaniu słynnego, a raczej osławionego artykułu „Cywilizacja i religia". Ale aby to opisać, trzeba najpierw o tym wiedzieć, bowiem nawet historia salonów nie powinna być historią salonową.

LEKTOR

Rozwój naszej gospodarki nacechowany jest dążeniami i osiągnięciami w dziedzinie stałej poprawy warunków bytu społeczeństwa. Przejawy tych dążeń odnajdujemy w szeregu posunięć gospodarczych państwa a ostatnio w rządowym programie rozbudowy świadczeń socjalnych. Program ten m.in. zakłada dalsze skracanie czasu pracy, aby zapewnić ludziom pracy więcej wolnego czasu i stworzyć im przez to lepsze warunki dla korzystania z dorobku społeczeństwa w zakresie kultury, sztuki, organizacji wypoczynku itp.

JÓZEF PENC

CENA WOLNEGO CZASU

Powzięte decyzje postawiły przed praktyką gospodarczą zagadnienie skracania czasu pracy jako jedno z ważniejszych do rozwiązania zadań społeczno-ekonomicznych. W konsekwencji skracanie czasu pracy stało się przedmiotem żywego zainteresowania organizatorów produkcji, działaczy związkowych i oczywiście samych robotników. W dyskusjach szuka się przede wszystkim odpowiedzi na pytanie, jak skrócony czas pracy wpływa na podstawowe parametry decydujące o wydajności pracy, zatrudnieniu, płacach, kosztach itp., a więc w jaki sposób pracujący będą zyskiwać dodatkową porcję wolnego czasu i jakie muszą być spełnione warunki, aby wprowadzenie wolnych sobót przyniosło w sposób odczuwalny spodziewane korzyści.

Przede wszystkim wprowadzenie wolnych sobót powinno być dokonane bez uszczerbku dla produkcji i zarobków pracowników zgodnie z założeniem: **krótszy czas pracy, ale to samo zatrudnienie, nie mniejsza a raczej większa produkcja a więc lepsza jej organizacja, wyższa wydajność.**

Ekonomiczną podstawę tego procesu musi więc stanowić wzrost wydajności pracy uzyskiwany głównie w drodze bezinwestycyjnej, tj. w oparciu o szeroko rozumiane rezerwy wewnętrzne przedsiębiorstwa, przy czym wzrost ten należy planować proporcjonalnie do wskaźnika obrazującego stosunek, w jakim pozostają do siebie dotychczasowy wymiar czasu pracy do czasu skróconego.

W przypadku wprowadzenia jednej wolnej soboty w miesiącu poprzez likwidację pracy na 2 zmianie, wydajność pracy winna wzrosnąć w zakładach pracujących systemem 3-zmianowym o 3,32 proc., a w zakładach o systemie 2-zmianowym o około 3,2 proc., średnio w skali miesięcznej.

Rezerwy wzrostu wydajności tkwią we wszystkich rodzajach działalności przedsiębiorstwa, na wszystkich szczeblach jego struktury organizacyjnej, a powstają one stale na skutek postępu technicznego i organizacyjnego, zmian konstrukcji wyrobów itp. Występują one zarówno w gospodarowaniu siłą roboczą jak i środkami trwałymi i obrotowymi, a więc zarówno w rezerwach funduszu czasu pracy jak i w rezerwach obniżenia pracochłonności produkcji.

Straty czasu pracy to naturalnie tylko niewielki odsetek tych rezerw, obejmujący przerwy w procesie pracy. Znacznie większe rezerwy kryją się natomiast w pracochłonności produkcji, w kooperacji, w gospodarce remontowej itp.

Z punktu widzenia procesu skracania czasu pracy, zwłaszcza w początkowej jego fazie, **decydującą jednak rolę odgrywają rezerwy, tkwiące w nie wykorzystanym czasie pracy.** Świadczą o tym wymownie np. badania radzieckie, z których wynika, że likwidacja wewnątrzzmianowych strat czasu pozwoliła w szeregu zakładów skompensować w 30—40 proc. skrócenie dnia pracy o 1 godzinę.

W przemyśle lekkim nie wykorzystany czas pracy stanowi średnio 12—15 proc. nominalnego czasu pracy robotnika grupy przemysłowej. Niektórzy kierownicy przedsiębiorstw straty te przypisują głównie robotnikom. Taki generalizujący pogląd jest niesłuszny. **Przyczyny bowiem kryją się tutaj głównie z braku należytej organizacji pracy,** utrudniającej rytmiczny przebieg produkcji i właściwe wykorzystanie zdolności produkcyjnych ludzi i maszyn, w trudnościach surowcowych i kooperacyjnych (zwłaszcza w wadliwej kooperacji międzyzakładowej), w niewłaściwej pracy administracji itp. Na przykład przeprowadzone w jednym z dużych przedsiębiorstw przemysłu dziewiarskiego (w związku z jego modernizacją) badania nad wykorzystaniem parku maszynowego wykazały, że maszyny zainstalowane i normalnie pracujące wykorzystane były w roku 1967 w 84 proc., a w 1969 r. w ok. 75 proc., przy czym przyczyny postojów były: w 30 proc. — remonty, w 24 proc. — usprawiedliwione nieobecności pracowników i 20 proc. — brak zleceń i brak surowca. **W sumie więc 85—90 proc. strat dziennego czasu pracy zwiazane jest z usterkami w organizacji przedsiębiorstw, a tylko nieznaczna jeb część z czynnikami zależnymi od samych robotników.**

W przemyśle lekkim, rezerwy tkwiące w nie wykorzystanym czasie pracy, traktowane jako źródło kompensacji wolnych sobót, mimo stosunkowo wysokiego procentu tego czasu, są jednak niewielkie. Świadczą o tym przeprowadzone w wybranych branżach tego przemysłu badania, których celem było dostarczenie informacji, w jakiej mierze możliwe jest wprowadzenie skróconego czasu pracy w drodze wykorzystania rezerw czasu pracy, przy założeniu wykonania zadań gospodarczych oraz niepogorszenia wyników finansowych. Wynika z nich, że skrócenie czasu pracy w pierwszym etapie, poprzez wprowadzenie wolnych od pracy jedynie niektórych sobót, nie znajduje pokrycia w aktualnym bilansie tego czasu.

Jako teoretyczną rezerwę czasu pracy przyjąć można następujące pozycje godzin nie przepracowanych:

Δ przestoje,

Δ zwolnienia do prac społecznych,

Δ nieobecności nie usprawiedliwione.

Uwzględniając te pozycje, rezerwę czasu pracy można dla poszczególnych branż oszacować następująco (średnio rocznie na 1 robotnika grupy przemysłowej): przemysł odzieżowy — 12, bawełniany — 37, dziewiarski i pończoszniczy — 33 i skórzany ok. 24 godziny. Przy założeniu całkowitej eliminacji strat czasu pracy z powyższych tytułów **otrzymujemy rezerwę pokrywającą ubytek czasu pracy związany z wprowadzeniem wolnych sobót od dwóch (przemysł odzieżowy) do sześciu rocznie (przemysł bawełniany).**

W rzeczywistości rezerwa ta, jak się wydaje, nie będzie większa i to z paru przyczyn:

Δ Nierealne jest założenie całkowitego wyeliminowania strat czasu pracy w wyniku przestojów i zwolnień do prac społecznych. Zakładać także należy utrzymywanie się pozycji „nieobecności nie usprawiedliwionych", nawet gdyby uległy one pewnej redukcji. Zawarta zresztą w tej pozycji rezerwa czasu pracy jest bardzo niewielka (około 0,5 proc) i dążenie do jej zmniejszenia uzasadnione jest bardziej motywami społeczno-wychowawczymi niż jej realnym znaczeniem w bilansie czasu pracy.

Δ Należy się liczyć ze zwiększeniem się ilości godzin nie przepracowanych w związku z nabywaniem przez kolejnych pracowników uprawnień do zwiększonych urlopów wypoczynkowych w miarę stabilizacji i podnoszenia się wieku załóg.

Δ Należy liczyć się ze zwiększeniem się ilości godzin nie przepracowanych w związku z przedłużeniem urlopów macierzyńskich.

Nadto należy zwrócić uwagę, iż omawiana wyżej teoretyczna rezerwa czasu pracy może być zużyta dla zrekompensowania ubytków czasu pracy, związanych z systematyczną redukcją godzin nadliczbowych. Wynoszą one w poszczególnych branżach (na 1 robotnika grupy przemysłowej średnio rocznie): przemysł odzieżowy — 10, bawełniany — 15, dziewiarski —12 i skórzany — 22 godziny.

W świetle powyższego stwierdzić można, że ewentualna rezerwa tkwiąca w redukcji godzin nie przepracowanych z przyczyn, których eliminowanie można by traktować jako zasadne, jest mała, bądź w niektórych przypadkach znikoma.

Jako pewną, aczkolwiek trudną do oszacowania, rezerwę czasu pracy traktować można ewentualnie zmniejszenie ilości godzin nie przepracowanych z tytułu zwolnień lekarskich. Stanowią one znaczną pozycję w stosunku do ogółu nie przepracowanego czasu. Wartość tej rezerwy obniżają jednak następujące przyczyny:

Δ okresowe występowanie chorób epidemicznych (grypa i jej powikłania) powoduje, iż w pewnych okresach ilość godzin nie przepracowanych w związku ze zwolnieniami lekarskimi gwałtownie wzrasta;

Δ podnoszący się przeciętny wiek załóg sprawia, iż prawdopodobieństwo zachorowań staje się większe.

Z drugiej jednak strony można sądzić, że poprawa pracy służby zdrowia, warunków socjalnych i bhp mogą stać się czynnikiem redukującym ilość zachorowań i wynikające stąd straty w czasie pracy. Istotną rolę może tutaj również odegrać samo skrócenie czasu pracy i w jego rezultacie wydłużenie czasu wolnego, co należałoby odpowiednio docenić.

Wydaje się, że znaczne zwiększenie produkcji, pozwalające w pewnym stopniu zrekompensować ubytki związane z wprowadzeniem wolnych sobót można by uzyskać przez wyeliminowanie nie skontrolowanych przerw w pracy i nie ewidencjonowanych krótkich przestojów. Każda taka przerwa oznacza bowiem straty produkcji nie wytworzonej w czasie jej trwania oraz stratę wynikłą z faktu, iż bezpośrednio po przerwie wydajność pracownika jest zmniejszona w związku ze zjawiskiem tzw. okresu wdrażania. Brak jest jednak danych, pozwalających ocenić, ile wynoszą takie przerwy nie uzasadnione względami fizjologicznymi i związane z nimi straty.

Fot. Włodzimierz Parys

Można sądzić, że pewne rezerwy czasu pracy dałoby się wykryć na podstawie szacunku, w jakim stopniu wprowadzenie wolnych sobót dałoby szansę na zmniejszenie ilości nieobecności nie usprawiedliwionych, a także usprawiedliwionych (możliwość załatwienia pewnych koniecznych spraw w dniu wolnym od pracy).

Szacunek taki byłby możliwy w oparciu o analizę przyczyn usprawiedliwionych nieobecności oraz deklarowanych powodów, dla których powstały nieobecności uważane za nie usprawiedliwione. W sumie jednak wyrazić można sąd, iż wprowadzenie skróconego czasu pracy, jeśli ma być dokonane bez uszczerbku dla produkcji, wymagać musi szeregu zasadniczych poczynań, a mianowicie:

— Podniesienia nakładów na postęp techniczny i polepszenia warunków pracy. W przeciwnym przypadku skrócenie czasu pracy będzie musiało być okupione wzrostem intensywności pracy, co uczyni uzyskany efekt iluzorycznym społecznie, a także ekonomicznie.

— Usprawnienia organizacji procesu produkcji tak aby umożliwić efektywne wykorzystanie czasu pracy. Idzie tu o zwolnienie pracowników wytwarzających produkcję od całego szeregu czynności, które niewątpliwie są pracą i wymagają wysiłku, ale nie prowadzą bezpośrednio do powstawania produktów, bądź mogą być efektywniej wypełniane przez pracowników obsługi itp.

— Podnoszenie kwalifikacji robotników i średniego dozoru technicznego, a zwłaszcza mistrzów.

— Konsekwentne działanie w kierunku polepszania całokształtu stosunków międzyludzkich w zakładach pracy.

Fot. R. Jaworski

GEORGES SIMENON WIĘZIENIE

17

Tłumaczył: R. WYSOCKI

Stanął pod prysznicem i nieruchomo stał pod wodą, która spływała mu po skórze.

— Ja też mogę wziąć prysznic?

— Jeżeli ci to sprawi przyjemność.

Włożył szlafrok wszedł do studia, nalał sobie kieliszek scoth, ktorą pił małymi łykami, utkwiwszy wzrok w panoramie Paryża. Słuchał jak Mina bierze prysznic. Dla niego wszystko było skończone. Nie myślał już o tym. Ona stanowiła cząstę przeszłości. Tego właśnie ona nie potrafiła zrozumieć.

Któż by zrozumiał? Nawet on sam nie! Niezupełnie.

— To ciekawe — zauważyła wróciwszy do studia, żeby się ubrać. Po miłości mężczyźni są raczej smutni. A ja czuję się taka wesoła, taka lekka. Mam ochotę śpiewać, fikać koziołki.

— Co ty rozumiesz przez koziołki?

— Takie, jak wówczas, kiedy byłam mała.

Stanęła na ziemi na głowie, wyrzuciła nogi w powietrze, zrobiła kilka koziołkow.

— Ty tego nie robiłeś?

— Ależ tak.

Przypomnienie lat dziecinnych niczego nie załatwiało. Przeciwnie.

— Mogłbyś mi zapiąć? — spytała, wyciągając ku niemu dwie łapki biustonosza.

Ten sam gest, co u Kocura, co u innych. Taki, jaki kobiety robią kiedy są same.

— Dziękuję.

Nalał sobie jeszcze trochę whisky, którą wychylił jednym haustem, zapalił papierosa i wyszedł na korytarz, gdzie były szafy w ścianie. Wybrał szare flanelowe spodnie, marynarkę ze szkockiego szewiotu, giętkie buty, na podeszwie z krepy. Zamiast koszuli założył pulower z zawijanym kołnierzem.

— Dobrze ci na sportowo.

Nie zareagował. Nie reagował już na nic.

— Nie bierzesz płaszcza? Mimo słońca jest chłodno.

Zdjął z wieszaka zamszową bluzę, rozejrzał się naokoło. Na ostatku kiedy był już przy drzwiach odwrócił się do niej. Stanęła na palcach, żeby sięgnąć jego ust.

— Nie chcesz?

Zawahał się.

— Owszem.

Pocałował ją tak, jakby całował siostrę.

— Wróci pan przed wieczorem?

— Może.

Zszedł na dół stopień po stopniu, dwa razy się zatrzymał. Usłyszał głosy dzieci w mieszkaniu na drugim piętrze. Potem o mało nie pchnął oszklonych drzwi stróżówki, ale nic nie miał do powiedzenia stróżce, a poczta go nie interesowała.

Wsiadł do samochodu, pojechał do swojego garażu, na ulicę Cardinet.

— Dzień dobry, panie Alain. Bierze pan jaguara?

— Baki pełne, mój mały?

— Wszystko w porządku, oliwa, baterie. Zdjąć pokrowiec?

— Tak.

Zasiadł przy kierownicy i skierował samochod w stronę bramy Saint-Cloud, minął tunel, wypadł na autostradę zachodnią. Na siedzeniu obok niego nie było nikogo, nikogo, kto by go prosił, żeby nie jechać zbyt szybko.

Zabawne, gdy się pomyśli, że w Petite Roquette Kocur zaczyna organizować sobie życie.

Jechał tak wolno, że mijało go wiele wozow i wielu ludzi odwracało się za nim. To niezwykły widok, jak sportowy jaguar wlecze się po szosie.

Nie śpieszyło mu się. Zegar wskazywał kwadrans po godzinie jedenastej. Przyglądał się drzewom, jak gdyby ich nigdy w życiu nie widział. Niektóre były rude, inne złocistożółte, inne wreszcie ciemnozielone. Gdzieniegdzie widać było polną drogę z prawdziwymi wybojami. Już dawno nie jechał dróżkami tego rodzaju.

Tuż przed nim farma, naokoło niej stado krów czarnych i białych. Na dalekim tle mgła, z której jakby brała początek kręta linia Sekwany.

Powietrze było chłodne, ale nie było zimno. Mijały go ciężarówki. I on kiedyś prowadził ciężarówki, w Afryce. W sumie, sporo przeszedł w życiu.

O mało nie zapomniał skręcić na prawo, przejechać pod autostradą i dojechać do Nonnettes. Zazwyczaj przypominała mu o tym Kocur. Nie było już prawie samochodów.

Kiedy pojawił się dach z gontów i kwadratowy komin zdał sobie sprawę, że od Paryża nie miał papierosa w ustach. Pod murkiem mignął stary, powyginany kapelusz Ferdynanda. Patrick musiał być w pobliżu, w ogrodzie.

Wjechał w furtkę, której kraty otwarte były przez cały dzień, ustawił samochód na podwórzu, przed skromnym, kamiennym gankiem. Panna Jacques, ubrana w niebieski mundurek, uszyty według własnego projektu otwierała drzwi.

Była wysoka, twarz miała spokojną, rysy regularne. Trudno było powiedzieć, czy jest ładna. Być może miała bardzo ładne ciało, ale tego nie było widać.

— Nie wiedziałem, że pan przyjedzie. Patrick jest w ogrodzie.

— Tak też myślałem, widząc głowę Ferdynanda. On nic nie wie?

— Nie uprzedziłam ludzi, którzy tu przychodzą. Właściwie tylko listonosz i dostawcy.

Patrzył na biały dom, na okna z małymi szybami, które przysporzyły mu tyle kłopotów. Było to pewnego rodzaju marzenie, które urzeczywistnił: dom, w jakim chciałby się urodzić, do którego przyjeżdżałby na wakacje, jak do babci.

Rozległa kuchnia była wykładana czerwonymi kwadratami, poza tym wszędzie podłogi były woskowane, w salonie w stylu wiejskim, ściany białe, jakby pokryte wapnem, w pokojach wisiały firanki w małe kwiatki.

— Wygląda pan na zmęczonego.

— Dziś już mniej jestem zmęczony, niż wczoraj.

— Musiało to być bardzo ciężkie.

— Tak, dosyć.

— Był pan sam?

Zrobił twierdzący znak głową.

— A pański szwagier?

— Lepiej to zniósł, niż bym był przypuszczał.

Skierował kroki w stronę ogrodu otoczonego murem pokrytym pnączami. Na krzewach widać było olbrzymie gruszki, już żółtawe, jabłka, które Ferdynand pielęgnował z miłością, owijając w papier, jak tylko zaczynały rosnąć, ażeby je chronić przed ukłuciami owadów.

Aleje były czyste, zagony warzyw równe, jak pod sznurek, ani jednego chwastu.

Ogrodnik i Patrick rwali fasolkę szparagową. Kiedy dziecko zobaczyło Alaina, rzuciło się pędem do niego, skoczyło w ramiona.

—Wcześnie przyjechałeś. Gdzie mama?

Szukał jej oczyma.

— Musiała zostać w Paryżu.

— Nie przyjedzie jutro?

— Chyba nie. Ma dużo pracy.

Patrick nie był zbytnio rozczarowany. Ferdynand zdjął brudny kapelusz i jego łysa głowa i biała czaszka błyszczały w słońcu. Ponieważ miał twarz ogorzałą i spaloną, ta czaszka koloru kości słoniowej wyglądała wręcz nieprzyzwoicie.

— Witamy, panie Alain.

— Mama nie przyjechała, Ferdynandzie. Ma dużo pracy. Nie zapomnij, że miałeś mi zrobić łuk?

Ogrodnik mógł posłużyć za model do książki z obrazkami.

Dom też był jakby wyjęty z książki z obrazkami.

— Idziemy, Patrick? Zaraz będzie obiad.

— Jeszcze nie było dzwonka.

Był tu bowiem nawet dzwonek, koło kuchni, a Lulu, żona Ferdynanda, zawsze dzwoniła, by zapowiedzieć posiłek.

— Dzień dobry, Lulu.

Czuł zapach królika, cebulek, koperku.

— Dzień dobry panu, panie Alain.

Mogła tylko przyglądać mu się uważnie, gdyż przy dziecku nie śmiała zadawać pytań.

— Mama nie przyjedzie — oświadczył malec.

Do kogo był podobny? Miał oczy matki, brązowe, żywe, a jednocześnie marzycielskie, bardzo ruchliwe. Dolna część twarzy była raczej Alaina.

Lulu pod fartuszkiem dźwigała potężny brzuch, grube nogi, a na głowie mały szary i twardy kok.

— Obiad będzie gotów za parę minut. Lubi pan filety ze śledzia? Patrick je obstalował.

Nic nie słyszał. Minął jadalnię, wszedł do salonu, gdzie w rogu stał antyczny mebel, w którym znajdowały się napoje i szklanki.

Nalał sobie whisky, a syn przyglądał się z zainteresowaniem, jak pije.

— To dobre?

— Nie.

— Lepsze, niż lemoniada?

— Nie.

— To po co pijesz?

— Bo dorosłe osoby to piją. Nie zawsze dobrze wiadomo, dlaczego dorosłe osoby to robią, co robią.

Wzrok, jaki mu rzuciła panna Jacques, stanowił sygnał alarmowy; zrozumiał, że trzeba ważyć każde słowo.

— Będą goście jutro?

— Nie mój mały.

— Nikogo?

— Absolutnie nikogo.

— Będziemy się bawić we dwójkę?

— Mnie też nie będzie.

— Kiedy odjeżdżasz?

— Zaraz.

— Dlaczego?

Tak, dlaczego? Jak wyjaśnić temu pięcioletniemu smarkaczowi, że nie może wytrzymać więcej niż dwie lub trzy godziny w atmosferze Nonnettes, ani też znieść tego otoczenia.

Guwernantka była również zaskoczona. Pokojówka, która zeszła z góry, spytała:

— Czy walizki trzeba wnieść na górę?

— Nie, Olgo.

Rozległ się dzwonek. Przeleciała osa. Zapomniał, że są tu osy.

W jadalni zasiadło ich tylko troje przy owalnym stole z ogromnym bukietem kwiatów w niebieskiej fajansowej wazie.

— Nie bierzesz śledzia?

— Ależ tak. Przepraszam cię.

— Co ci jest? Wyglądasz na zmęczonego.

— Jestem zmęczony. Dużo pracowałem.

To prawda. Brudna praca. Praca, którą zazwyczaj robi się tylko raz w życiu. Zstąpił w głąb siebie. Zeskrobał powierzchnię, ogołocił wszystko aż do krwi. Wszystko skończone. Już nie krwawił. Ale nie można było od niego żądać, żeby pozostał tym samym człowiekiem.

Mina nie zrozumiała, że dziś rano z pewnością przeżyła jedyny w życiu eksperyment.

Ani Patrick, ani niańka, ani nikt inny tutaj tym bardziej nie mógł zrozumieć. Jadł. Uśmiechał się do syna.

— Mogę dostać trochę wina do mojej wody. Mamie?

— Jutro. Tylko w niedzielę.

— Jutro papy nie będzie.

Spojrzała na Alaina i wlała trochę wina czerwonego do szklanki dziecka.

Obiad wlókł się bez końca. Okno było otwarte. Słychać było śpiew ptaków, muchy wlatywały niekiedy do pokoju, robiły rundę wokół stołu i wypadały na powrót ku słońcu.

— Kawę wypije pan w salonie?

Salonem nazywano hall. Przeszedł tam, usiadł w fotelu z brązowej skóry. Maska jaguara była teraz w pełnym słońcu, ale nie mógł zdobyć się na odwagę i wstać, żeby go przestawić w cień.

— Pójdę zobaczę, czy Ferdynand skończył jeść. Obiecał, że mi zrobi łuk.

Panna Jacques nie wiedziała, czy ma wyjść, czy zostać.

— Czy nie ma pan dla mnie jakichś poleceń?

Długo się zastanawiał.

— Nie. Lepiej nie.

— Pozwoli pan, że pójdę zobaczyć, co robi Patrick?

Skończył kawę, skierował się ku schodom i obszedł wszystkie pokoje. Miały one niskie sufity. Prawie wszystkie meble pochodziły z farmy, ciężkie, wiejskie, ale całość była wesoła, naiwna.

Naiwność zamierzona. Naiwność fałszywa. Naiwność obliczona na zachwycenie gości weekendowych.

Tak jak „Ty" tworzyło fałszywą intymność.

Tak jak...

Po co to wszystko! Było za późno. Albo za wcześnie. Otworzył drzwi do ich sypialni i patrzył na nią bez emocji.

Zszedł na dół, spostrzegł syna w towarzystwie ogrodnika, który strugał łuk. Panna Jacques stała kilka metrów dalej.

Po co zwlekać? Podszedł do nich, pochylił się nad Patrickiem, aby go ucałować.

— Przyjedziesz z mamą na przyszły tydzień?

— Może.

Więcej interesował go łuk, aniżeli ojciec.

Alain ręką pożegnał guwernantkę.

— Odjeżdża już pan, panie Alain?

— Muszę, Ferdynandzie.

— Nic panu nie potrzeba. Nie weźmie pan do Paryża trochę owoców?

— Nie dziękuję.

— Kto by to był pomyślał, panie Alain!

Podniosła rąbek fartuszka do oczu.

— Osoba tak...

Co tak? Odszedł, nie dowiedziawszy się tego, zapuścił motor i auto odjechało z Nonnettes w szalonym tempie.

ROZDZIAŁ VIII

Teraz już mógł, musiał pić. Wszystko, czego dokonywał dzisiaj, wraz z najdrobniejszymi szczegółami, to, co zaszło między nim a Miną, było przewidziane, zaplanowane z góry. Czyż to nie dziwne, że rola ta przypadła małej Flamandce, której przedwczoraj jeszcze nie znał, a która cudownym przypadkiem zapukała do jego drzwi?

Być może nie rola wybitna, ale w każdym razie nie wybitniejsza, niż Mina jeszcze do tej pory sobie wyobrażała.

Dla niego było jeszcze za wcześnie. W Nonnettes zabawił krócej, niż przewidywał, gdyż czuł, że się dusi. Chciał aby odjazd był spokojny i poważny, a nabrał on charakteru ucieczki.

Jechał szybko, nie kierując się w stronę Paryża. Wkrótce dotarł do Evreux, przez które często przejeżdżał. Szukał jakiegoś baru, ale widział same bistra z fasadami malowanymi na żółto w żywym odcieniu albo na lila, w którym z pewnością nie było whisky.

Przez kilka minut błądził w labiryncie ulic, z których jedna podobna była do drugiej, wreszcie znalazł tablicę, wskazującą drogę do Chartus.

Dlaczego do Chartus? Ledwie ujechał kwadrans, gdy odkrył oberżę dla turystów, gdzie dawna kolasa na trawniku zastępowała szyld. Tu będzie z pewnością bar.

Istotnie był. Za ladą barman słuchał komunikatu wyścigów.

— Podwójną!

Chciał się poprawić, ale barman zrozumiał i wziął butelkę Jonny Walker. Nie tylko on zatem używał tej formułki. Podwójna scoth. Podwójna whisky. Podwójna. Same te słowa budziły w nim obrzydzenie.

— Piękna pogoda na przejażdżkę.

Z roztargnieniem przytaknął. Gwizdał na pogodę. Ten element nie figurował w jego planach. Oficjalna defilada nie była przewidziana.

— Jeszcze jedną.

— Zdaje mi się, że pan tu już był.

Ależ tak, mój króliku. Wszyscy go już widzieli. Nawet w takich dziurach, gdzie jego noga nigdy nie postała. Zwyczajnie dlatego, że na pierwszej stronie gazet było jego zdjęcie.

— Cześć.

— Do zobaczenia.

Musiano mu zazdrościć wozu. Wyciągał z niego najwyższą szybkość na szosie, która do tego się nie nadawała i co najmniej na dwóch zakrętach o mało go nie zarzuciło.

Chartus! Doskonale! Znał witraże katedry. Przede wszytkim zaś pamiętał restaurację na rogu jednej z ulic, z sympatycznym barem. Odnalazł ją.

— Podwójna scoth.

Zaczynało iść jak po maśle. Wprawiał w ruch coraz to nowe kółka, powoli łapał rytm. Tym razem gierka z barmanem zwróciła się przeciw niemu.

— Pan już tu pracował dwa lata temu, co?

— Nie proszę pana. Jestem dopiero od miesiąca.

— A gdzie pan był przedtem?

— W Lugano.

Alain nigdy nie jeździł do Lugano. Zero! On też miał prawo omylić się, nie?

Znów pędził, przyglądał się wozom, jadącym w przeciwnym kierunku, kierowcom, którzy robili poważne miny.

On przez całe życie robił odwrotnie i wszyscy mu wierzyli. Widziano u niego tyle tupetu, że nikt nie podejrzewał w nim małego chłopczyka, który udawał Indianina.

W rzeczywistości miał pietra tak samo, jak inni. Nawet większego, patrzył ludziom w oczy. I wtedy rzucał:

— Mój królliku.

Albo też

— Lebku...

I to brało. Pozwalali mu na to. Ale często naprawdę dodawało mu pewności siebie.

Nie dosyć jeszcze pił. Przed chwilą przejeżdżając przez Saint-Cloud, zatrzymał się jeszcze. W dużym lokalu, gdzie w sobotę wieczór tańczono. Był tu którejś soboty z jedną z maszynistek. Było to wówczas, kiedy Kocur wyjechała na jakiś wywiad w Amsterdamie, z amerykańskim uczonym, o ile dobrze pamiętał.

Przespali się ze sobą na trawie, nad brzegiem Sekwany.

Ten numer nie oni odkryli. Kobiet się nie bał, aż tak źle nie było, ale mu imponowały. Datowało się to od dzieciństwa, od pierwszych lektur. Był skłonny do stawiania ich na piedestał.

Zaczął więc podnosić im sukienki i brał je. I oto piedestał runął.

Odnalazł odcinek autostrady zachodniej, dochodzący do Saint-Cloud, nie zapomniał stanąć przed tancbudą. Dekoracje się zmieniły. Rodzaj domu również. Mimo to bar był.

Podwójna scoth.

Wszystko szło wolniej, niż przedwczoraj. Zachowywał zimną krew, nie zapominał o zaleceniach, których udzielił mu komisarz Roumagne. Przyrzekł mu. Porządny facet, ten komisarz. Wiele rzeczy rozumiał, prawie że za wiele. Czyż Alain nie wolałby być takim człowiekiem, jak on?

Człowiekiem solidnym. Człowiekiem, który nie potrzebował...

Gówno! Za późno.

— Co jestem panu winien?

Była to pańszczyzna, ale wczoraj wieczór wydało mu się, że musi nieodzownie wykonać te wszystkie czynności. Przewidział je w planie i niczego nie zmieniał.

Niektóre czynności, jak ta, wydały mu się nagle dziwaczne. Obrazy stawały się odległe, osoby zamazane i z trudem przypominał sobie ich rysy.

Dalszy ciąg nastąpi

ANDRZEJ BLAJER

(IV)

TAJEMNICA ŚMIERCI MUSSOLINIEGO

Sytuacja, jak ją widział wówczas (to jest około godz. 15, 28 kwietnia) pułkownik „Valerio" nie przedstawiała się wcale ani jasno, ani prosto. Po pierwsze — „X" był już na pewno w Mediolanie, a po drugie należało się śpieszyć, gdyż czas naglił. Każdy plan działania musiał uwzględniać te elementy, a możliwości było niewiele.

Co więc pozostawało? Otóż istniało jedno wyjście, które po przeanalizowaniu okazało się być dla „Valerio" jedynym słusznym w tej sytuacji rozwiązaniem. Należało po prostu zainscenizować fałszywe rozstrzelanie i to nie tylko po to, aby „kryć" „X", lecz także dlatego, aby nadać legalnego charakteru całej operacji. A tylko jeden człowiek mógł sobie na to pozwolić. Ten człowiek to pułkownik „Valerio". Opuszczając bowiem rankiem 28 kwietnia Mediolan otrzymał od gen. Cadorny dość szerokie pełnomocnictwa, zaaprobowane zresztą przez większość członków tamtejszego komitetu CLN. Poza tym miał do swojej dyspozycji wyborowy pluton partyzancki. Godne uwagi jest również i to, że legitymował się specjalnymi dokumentami CVL podpisanymi ubiegłej nocy prze Cadornę i Daddario. Co więcej, był przecież dowódcą żandarmerii partyzanckiej, zależnym nie od Włoskiej Partii Komunistycznej, lecz od naczelnego dowództwa, czyli od Cadorny. Reasumując, nie było nikogo prócz niego w promieniu stu kilometrów od Dongo, kto posiadałby takie uprawnienia.

Aby więc zrealizować swój nowy plan, „Valerio" wyrusza o godz. 15,40, czyli półtorej godziny po przybyciu do Dongo, w kierunku Giulino di Mezzegra. Oprócz własnych ludzi towarzyszą mu „Neri", Moretti, „Gianna" i pewien partyzant o nie ustalonym nazwisku. Był to człowiek raczej niewysoki, krępy i przysadzisty, zaś chód miał energiczny (jak Mussolini). Zatem doskonale nadawał się do małego „show", który właśnie rodził się w głowie „Valeria". Nieco przed godziną 16 samochody tej nowej ekspedycji dotarły do Azzano, z planem już ułożonym, choć na prędce, lecz dokładnie.

Partyzanci z oddziału „Valeria" zgodnie z otrzymanymi rozkazami zablokowali drogi — państwową, wiodącą do Dongo, jak i te na górze, w kierunku Bonzanigo. (Tym właśnie należy tłumaczyć fakt opisywany przez Paolo Monellego, iż inż. Nardo Bellini, właściciel willi Belmonte w Giulino, siedząc w tym czasie na jej tarasie, widził tylko jeden samochód jadący z góry w stronę Bonzanigo i był zdziwiony, że szosa jest bardziej opustoszała niż zazwyczaj o tej porze).

Do momentu rozpoczęcia „oficjalnej" egzekucji pozostawało jeszcze tylko około pół godziny. Wśród wyznaczonych do akcji byli zarówno ludzie „przybyli z zewnątrz" (z „Valerio"), jak i lokalni partyzanci, specjalnie zmobilizowani na tę okazję. Aby pozbyć się „niepotrzebnych" świadków spośród miejscowej, zresztą niezbyt licznej, ludności rozpowszechniono w okolicy fałszywą wiadomość o mającym nastąpić przejeździe Mussoliniego. Przynęta „chwyciła" i większość ludzi wyległa, poczynając od południowej strony Giulino, na szosę państwową wiodącą do Dongo. Teren był zatem „oczyszczony" i można było więc działać szybko, a przede wszystkim skutecznie. „Valerio" postępując według logiki, której nigdy nie usiłował wyjaśnić, lecz która obecnie stała się już całkowicie jasna, nie idzie ścieżką, ale „wspina się" aż do Bonzanigo swoim samochodem. Towarzyszy mu tylko Michele Moretti i kierowca. W pewnym momencie samochód zatrzymuje się. „Valerio" wysiada i nerwowo przechadza się przez chwilę. Następnie strzela w powietrze z pistoletu i kieruje się ku centrum miasteczka.

Wystrzał to sygnał przeznaczony dla innych grup partyzanckich, biorących udział w akcji. W tym bowiem momencie, znajdujący się w domu De Maria-„Gianna" i ów krępy partyzant z Dongo, przebierają się za Mussoliniego i Clarę Petacci. On wkłada szary płaszcz wojskowy, w jakim przywieziono Duce, ona — futro pozostawione przez Claretta. Nie zabierając jedynie beretu Mussoliniego i chusteczki Clary, wychodzą z domu De Maria eskortowani przez „Guido", „Lino" i „Sandrino". Szybko przebiegają ulicę Mainioni d'Intignano i wychodzą na placyk z sadzawką, gdzie dołączają do „Valeria". Nieliczne napotkane osoby zostają szorstko „poproszone" o zejście z drogi i niezatrzymywanie się. Nikt nie poznaje „Mussoliniego" i „Claretty". Na placyku dwoje dublerów wsiada do samochodu i zjeżdża drogą wiodącą w dół, w kierunku podnóża góry.

Z drugiej strony drogi prowadzącej z Dongo nadjeżdża samochód z kapitanem „Neri" i trupami (Mussoliniego i Petacci), zabranymi z garażu. Oba samochody spotykają się przy kracie ogrodzenia willi Belmonte. Trupy zostają wyładowane z samochodu i ułożone pod murem, mniej więcej w pozycjach, jakie przybrały cztery godziny temu. Trup Mussoliniego — w pozycji siedzącej, oparty o mur ogrodzenia, zaś ciało Claretty leży obok, rozciągnięte na ziemi. Operacja nie jest łatwa i nieco się przedłuża. Mieszkańcy willi są zaintrygowani tym, co się dzieje na zewnątrz, ktoś ze służby wysuwa głowę spoza murku oddzielającego willę od drogi. Nie widzi wiele, dziś jednak gwarantuje, że przed kratą nie mogło być mniej niż dwadzieścia osób.

Nadchodzi chwila „rozstrzelania" Mussoliniego i Claretty. Pułkownik „Valerio" wycelowuje swój amerykański automat, otrzymany od Cavalottiego w kierunku trupów pod murem. Naciska spust. Broń jednak zacina się i nie strzela. Wyciąga pistolet, lecz i on zawodzi. Wówczas strzela Moretti, a może ktoś inny, dokładnie nie wiadomo. Strzały „idą" w powietrze. Kiraś z kul może i trafia w rozciągnięte trupy. Dla niewtajemniczonego w sprawę — dziwna to egzekucja. Nikt nie słyszał żadnych okrzyków, lub przekleństw partyzantów, jak i jęków rozstrzeliwanych. W murze, pod którym „rozstrzeliwano" Mussoliniego i Clarę Petacci, nie znaleziono żadnych śladów kul. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta. Tylko człowiek chory umysłowo wystrzeliłby serię z pistoletu maszynowego z odległości 3 metrów w kamienny mur. Wiadomo — rykoszety.

„Dwukrotnie rozstrzelani" — tak krótko można by określić „koniec" Duce i Clarretty. Jego rozstrzelano z takim pośpiechem, być może dlatego, iż przywódcom partyzanckim wydawało się, że nie można stracić ani minuty, a nuż alianci po przejęciu Mussoliniego spowodują, iż uniknie losu na jaki zasłużył. Być może tak by się nie stało, lecz kto wówczas mógłby to twierdzić z całą pewnością. Fakt pozostaje faktem, iż śmierć Mussoliniego w tym właśnie momencie oznaczała także koniec dla wielu, często jeszcze dość silnych i licznych, oddziałów faszystowskich walczących wciąż z nadzieją na zmianę sytuacji na ich korzyść.

Wraz ze śmiercią Mussoliniego, wodza i symbolu faszyzmu włoskiego, nadzieje te obracały się w niwecz. Któż bowiem inny mógłby ich po nim prowadzić do „zwycięstwa"? Na wszelki wypadek równie szybko rozstrzelano na podstawie wyroku Trybunału Ludowego piętnastu hierarchów i ministrów w rządzie Mussoliniego, aresztowanych 25 kwietnia w Dongo. W tym też celu „Pietro Gatti", „Valerio" i „Guido" zaraz po zakończeniu „egzekucji" udali się szybko samochodem z powrotem do Dongo.

Co się zaś tyczy Claretty Petacci, to było ona prawdopodobnie mimowolną ofiarą pośpiechu, jaki cechował całą operację. Formalnie bowiem poza tym, że była kochanką Duce, nie ponosiła przecież odpowiedzialności za to, co działo się we Włoszech.

A świadkowie tych wydarzeń w dniu 28 kwietnia? Dlaczego dopiero po 28 latach można było choć częściowo zrekonstruować przebieg wypadków? Wielu z nich widziało i rozumiało całą sprawę zaledwie w połowie, ktoś może i podejrzewał cały zasięg dramatu. Wszyscy jednak milczeli, być może w poczuciu naturalnej ostrożności, a może z innych względów? Zresztą, każdy z nich widział jedynie mały fragment całego obrazu. Pewien przemysłowiec szwajcarski, który zupełnie przypadkowo znalazł się na miejscu owej fałszywej egzekucji, przed willą Belmonte, choć niewiele rozumiał z tego, co się

Dalszy ciąg na str. 12

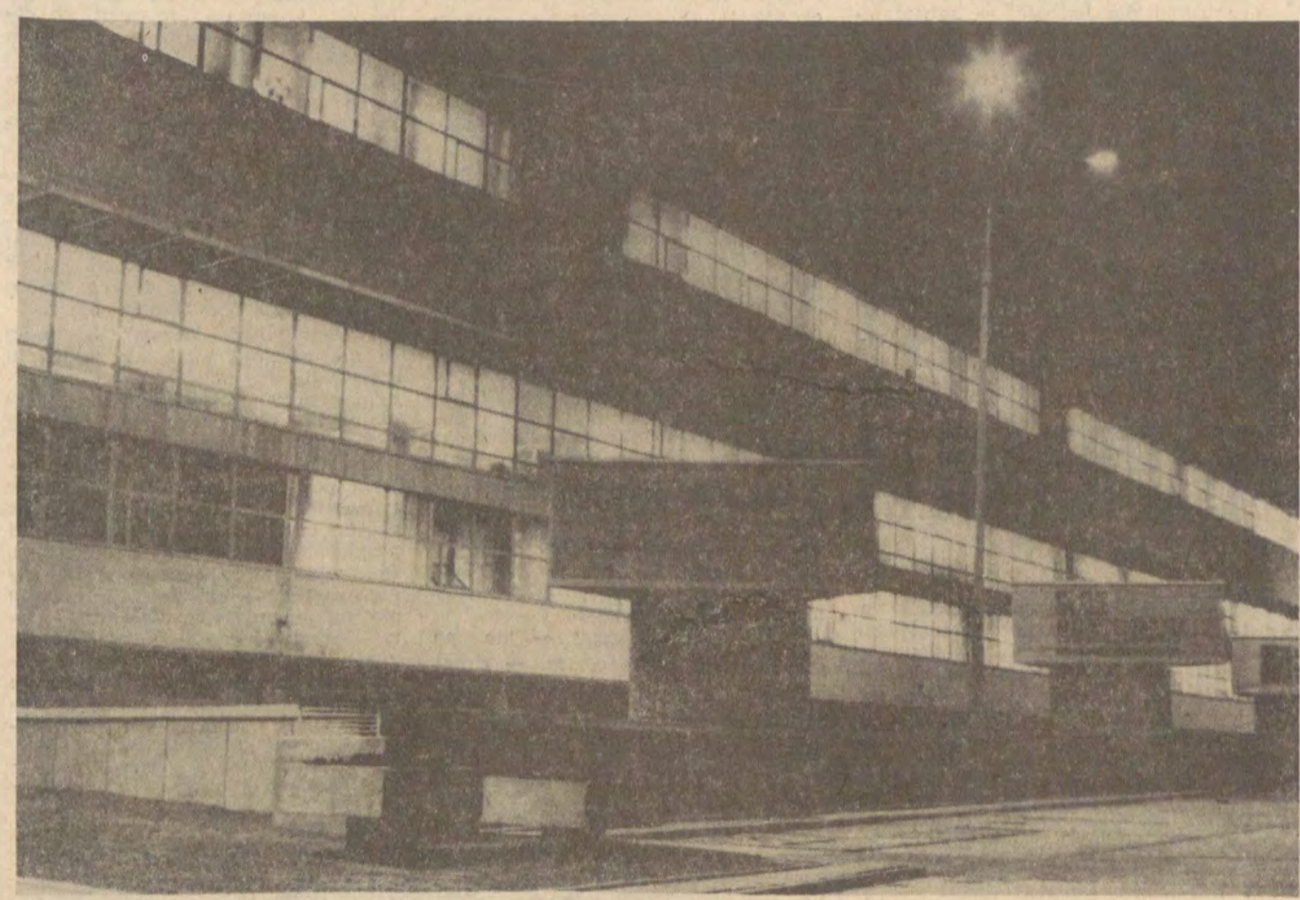

DOM NIE GASNĄCYCH ŚWIATEŁ

FOT. WŁODZIMIERZ PARYS

W tym budynku nigdy nie gasną światła. Przez całą dobę, od rana do wieczora i od wieczora do rana trwa tutaj nieustanny ruch i pracowita krzątanina. Ich szybkość i rytm wyznaczają wstęgi papieru spływające z dalekopisów i teleksów, niosące wieści z kraju i świata, dyktują je dzwonki redakcyjnych telefonów, wzmagają wszędobylscy gońcy i coraz zajeżdżające auta z nowym serwisem wiadomości. Ten niezmordowany i szybki rytm pracy, mozolny trud przetwarzania słów i obrazów w metal, rzeźbi się niezatartym śladem w życiu nas wszystkich.

Większości mieszkańców naszego miasta ten budynek przy Armii Czerwonej kojarzy się z ich gazetą, tą własną i ulubioną, którą przyzwyczajeni są kupować w kiosku co ranka, studiować ją już w tramwaju, by wreszcie uczciwie spenetrować jej łamy w czasie poobiedniej sjesty. Istotnie, tutaj wydaje się wszystkie nasze miejskie gazety. Ale nie tylko. Z Prasowych Zakładów Graficznych wychodzą również wszystkie gazety regionalne ziemi łódzkiej, a także niektóre gazetki zakładowe. Tutaj ukazują się także różne periodyki centralne, obejmujące swym zasięgiem cały kraj.

Gazety i czasopisma to jednak tylko jeden z kierunków produkcji tego zakładu. Obok nich drukuje się również i drobne akcydensy manipulacyjne i zaproszenia okazjonalne, a także różnego rodzaju albumy i foldery. Zakład wykonuje również na zlecenie różnych wydawnictw książki, począwszy od drobnych broszur przez obcojęzyczne przewodniki, po poważne pozycje beletrystyczne i naukowe. Zupełnie osobny rozdział stanowi produkcja kolorowych pocztówek tzw. składanek, a także wielobarwnego plakatu. Szczególnie ten ostatni przysporzył niemało splendoru zakładowi i całej załodze, gdyż był wielokrotnie wyróżniany i nagradzany.

Przedstawiony tu ogrom pracy wykonuje zespół ludzi, których zwykliśmy nazywać Towarzyszami Sztuki Drukarskiej, Towarzyszami Czarnej Sztuki — jak to się popularnie określa. Rzeczywiście, ich praca jest twarda i czarna, ich ręce są pobrudzone farbą czarną jak sadza. A przecież od poszczególnych literek—czcionek, z których składają słowa, a słowa w zdania i wiersze, te zaś w kolumny gazet i książek bije srebrzysty blask metalu, blask, który niesie się po mieście, kraju i świecie, który czyni nasze życie jaśniejszym, radośniejszym i bogatszym.

RZEKI NA MARSIE

Dalszy ciąg ze str. 1

wencji — zmiana kolejności pór roku.

W wypadku Marsa odwrócenie kolejności pór roku nastąpi po 25 tysiącach lat. Wtedy cieplejsze lata na półkuli północnej uwolnią potrzebną ilość gazu i wilgoci zamarzniętych na tej półkuli. Uczony Carl Sagan wyliczył, że Mars mógłby mieć wtedy atmosferę podobną do ziemskiej. Konsekwencją tego byłoby dalsze ocieplenie klimatu i stopnienie lodu. Wtedy woda znowu zapełniłaby rzeki.

Druga odpowiedź związana jest z tzw. cyklami górotwórczymi. Wewnętrzne ciepło Ziemi i Marsa jest wynikiem promieniotwórczości. Na Ziemi powoduje to cykliczne (co 250 milionów lat) zaburzenia, ruchy górotwórcze, wzmożoną działalność wulkaniczną itp. Po takim okresie bardzo często następuje gwałtowne oziębienie. Podobne zjawiska mogą zachodzić na Marsie, co wyjaśniałoby okresy występowania i okresy braku wody w stanie ciekłym na tej planecie.

OPRACOWAŁ B.K.

(„The Illustrated London News")

listy do redakcji

DOBRY CZY ZDOLNY?

„Szersze, bardziej demokratyczne rozdzielanie bodaj najważniejszego dobra, jakie państwo zapewnić może w ogóle ludziom — wyższego wykształcenia". Powyższe zdanie wybrałem z artykułu Marka Płużańskiego „Przełom czy epizod?" (Polityka 6. IV. 1974 r.), w którym autor przedstawia wnioski wynikające z eksperymentu przeprowadzonego na Uniwersytecie Jagiellońskim. Przyjętych tam na pierwszy rok studiów można podzielić na trzy grupy:

I. Wszyscy, którzy zdali egzamin. II. Laureaci olimpiad przedmiotowych. III. Najlepsi uczniowie szkół średnich przyjęci bez egzaminu.

Marek Płużański zastanawia się nad kryteriami „szkolnego prymusowstwa", nad rzetelnością wyłaniania przez szkolnictwo średnie „stawki uczniów". Nie w braku rzetelności należy upatrywać przyczyn zauważonych niepowodzeń, ponieważ jedynym kryterium są oceny.

Rada pedagogiczna kieruje najlepszego ucznia, czyli tego, który ma bardzo dobre oceny ze wszystkich przedmiotów. Uzyskanie takiego garnituru ocen w ciągu czterech lub pięciu lat nauki świadczy o sumienności i iście mrówczej pracowitości, nie określa jednak kierunku zainteresowań ucznia. Zaryzykuję nawet twierdzenie, że taki uczeń nie ma żadnych konkretnych zainteresowań, jest idealnym średniakiem i takim może pozostać.

Wyobraźmy sobie teraz obradujących nauczycieli, którzy mają do wyboru: Marka — sumienny i pracowity, mający na świadectwie same piątki; Wojtka — który jest najlepszym matematykiem w szkole, ale ma na świadectwie oceny dobre, a nawet dostateczne.

Wszyscy są przekonani, że Wojtek posiada wybitny talent matematyczny, ale Marek jest lepszym uczniem i jemu należy się pierwszeństwo. Wojtek i tak bez pomocy szkoły zda egzamin wstępny. Zatem czy wolno nam nauczycielom, pozytywnie oceniać postępowanie uczniów pracujących tylko nad wybranymi przedmiotami, a zaniedbujących inne? W klasie, wobec uczniów nigdy tego nie zrobię. Ale tak prywatnie, widzę w tym pewną logikę.

Podam przykład. Andrzej był uczniem mało sympatycznym, nie wykazywał najmniejszego zainteresowania tym, co się dzieje w klasie, stronił od jakiejkolwiek działalności na rzecz szkoły. Miewał oceny niedostateczne, nawet z matematyki zdarzały się trójki, a wszystko dlatego, że program szkoły średniej opanował już pod koniec pierwszej klasy i zajmował się zupełnie innymi tematami. Próby wykorzystania go w roli korepetytora nie dały spodziewanych wyników. Zarówno nauczyciele, jak i uczniowie, wiedzieli o tym, że w matematyce nie ma równych w całej szkole, zgodnie z naszymi przewidywaniami zdał na studia bez najmniejszych kłopotów.

Już słyszę głosy: „nieudolność nauczycieli", „gdzie są organizacje młodzieżowe?", „dlaczego nie startował w olimpiadzie matematycznej?".

W szkole średniej nie sprawdza się prymus z podstawowej, na studiach ten ze średniej, a kariery zawodowe ludzi z wykształceniem wyższym, bardzo rzadko mają oparcie na piątkach w indeksie. Czy należy załamać ręce? Po stokroć nie! Wolna konkurencja zdała już w Krakowie egzamin. Powszechny dostęp do szkoły wyższej i naturalna selekcja, będzie prawdopodobnie najlepszym rozwiązaniem. Rodzi jednak tysiące problemów, które należy rozwiązywać. Będzie wówczas mniej niezadowolonych z życia, ponieważ wszyscy mieli równe szanse.

Kierowanie przez szkołę średnią na studia wówczas zda egzamin, gdy będzie można wysyłać po jednym kandydacie na każdy kierunek studiów. Może to utopia, a może warta zastanowienia propozycja — możliwy jest do zrealizowania eksperyment w jakimś regionie kraju. Moim zdaniem, obecny system kierowania przez szkołę średnią, nie został do końca przemyślany, jeden kandydat z jednej szkoły, to tylko pozorna sprawiedliwość. Dla przeciętnego ucznia zdobycie indeksu tym sposobem jest nierealne, istnieją szkoły małe, w których przystępuje do matury jedna klasa (np. 20 uczniów), w mojej szkole (Zespół Szkół Zawodowych w Warszawie), w jednym tylko roku przystąpiło do egzaminu 240 uczniów. Ten jeden wybrany jest bardzo dobrym studentem Politechniki Warszawskiej.

ANDRZEJ BIENIAK
(Warszawa)

NAD BALIĄ Z PRANIEM

Dalszy ciąg ze str. 1

przemysłowe. Większość pralni to zakłady małe, piorące ręcznie od 10 do 25 ton odzieży i bielizny. Zakładów zaś o charakterze zdecydowanie przemysłowym — to znaczy piorących rocznie 1000—1500 ton jest w całym kraju zaledwie kilka.

Charakterystyczne przy tym, że w ciągu ostatniego dziesięciolecia przeciętna zdolność produkcyjna statystycznego zakładu pralniczego zmalała z 200 do 100 ton na rok. Oznacza to powolny, lecz systematyczny rozwój rękodzieła. W ostatnich latach powstało wiele zakładów pralniczych w większości właśnie — małych. Proces decentralizacji pralnictwa (tak zgubny dla jakości jego usług, co będę się starał wykazać dalej) postępował w ostatnich latach i postępuje nadal.

W parze z odstępowaniem od przemysłowych rozwiązań idą pozostające z nim w ścisłym związku niedostatki — powszechne — w technicznym wyposażeniu zakładów pralniczych. Przykłady? Pierwszy z brzegu: w naszych pralniach bieliznę znakuje się nadal zazwyczaj tylko ręcznie, podczas gdy mechaniczne znakowarki należą do rzadkości. O czym to świadczy? O wydajności pracy co najmniej dziesięciokrotnie mniejszej w wydaniu manualnym, bo sięgającym z górą 10 kg bielizny na godzinę. W tym czasie nie najnowocześniejsza nawet mechaniczna znakowarka opatrzy numerami 100 kg bielizny

O transporcie wewnętrznym w naszych pralniach — nawet tych większych — w zasadzie nie ma mowy. Sterowanie procesem prania odbywa się też ręcznie. Konstrukcje pralnic są przestarzałe. W wielu wypadkach nadają się one bardziej do muzeum pralnictwa, niż do samego prania.

Z wymianą „parku maszynowego" są spore trudności nie tylko dlatego, że — zwłaszcza w przypadku małych zakładów — limity inwestycyjne są ograniczone. Również i z tego względu, że światowy przemysł odstąpił w zasadzie od produkcji pralnic o małej wydajności, przestawiając się na ogromne kombajny pralnicze. Trudno zatem o małe (w skali, rzecz jasna usługowej) a zarazem nowoczesne urządzenia pralnicze.

Dla lepszego zobrazowania stanu bazy technicznej naszego pralnictwa dodać należy, iż zużycie wody, pary i środków piorących jest w nim przeciętnie o 30—70 proc. większe niż w zakładach pralniczych u socjalistycznych sąsiadów. W sumie zaś koszty eksploatacji — rzutujące w sposób bezpośredni na ceny usług — też są przeciętnie o 60 proc. wyższe. Tak więc odpowiadając na pytanie: dlaczego poziom usług naszego pralnictwa nie jest zbyt wysoki? — znajdujemy częściową odpowiedź na inne pytanie: dlaczego ceny usług pralniczych muszą być stosunkowo wysokie?...

BRAK FACHOWCÓW CZY ICH NADMIAR?

Pralnictwo ma także spore trudności z kadrą fachową. Zakłady — zarówno zamknięte, jak i świadczące usługi dla ludności — zatrudniają w sumie 40 tysięcy osób.

Wśród 1300 pracowników inżynieryjno-technicznych tylko 200 osób — czyli 15 procent! — ma wykształcenie wyższe techniczne. Tylko 30 procent średniego personelu technicznego ma wykształcenie średnie z zakresu pralnictwa a 40 procent robotników przyuczono do zawodu już w trakcie pracy.

Brak więc fachowców? Innego zdania są świeżo upieczeni fachowcy: absolwenci szkół zawodowych i średnich technicznych, którzy specjalizowali się w dziedzinie konserwacji wyrobów włókienniczych.

Spójrzmy na geografię szkolnictwa zawodowego. W kraju działa siedem zasadniczych szkół zawodowych, kształcących specjalistów pralnictwa: w Brzegu, Częstochowie, Gdańsku, Poznaniu, Szczecinie, Warszawie i Wrocławiu. Ich mury opuszcza rocznie 300 absolwentów. Około 150 absolwentów — specjalistów od konserwacji wyrobów włókienniczych — kończy ten kierunek co roku w trzech prowadzących tę specjalizację technikach: w Częstochowie, Warszawie i Wrocławiu. Do tego dodać należy 30 słuchaczy przyjmowanych rocznie na studia dzienne, wieczorowe i zaoczne na wspomnianym już kierunku konserwacji wyrobów włókienniczych Wydziału Włókienniczego Politechniki Łódzkiej.

Wszystko to, wzięte w sumie, nie daje wiele. Jak na potrzeby całego pralnictwa, nie jest to dużo. Tak przynajmniej wynika ze statystycznej teorii. Niestety, i tutaj — znów! — teoria mija się z praktyką.

Wielu bowiem absolwentów wspomnianych szkół dosłownie po całym kraju szuka... pracy Pracę w pralnictwie znaleźć, okazuje się, niełatwo. Szczególne z tym trudności mają inżynierowie i technicy. Kłopoty te wynikają przede wszystkim z faktu, że w pralnictwie — w mniejszych czy większych zakładach — niewielka jest rotacja kadr. Byłby to powód do chwały, gdyby nie to, że zdarza się podobno, iż w tym czy innym zakładzie pralniczym funkcję kierowniczą sprawuje... historyk z wykształcenia, „blokując" tym samym etat, który należy się absolwentowi odpowiedniego kierunku politechnicznego.

ROZDROBNIENIE I PARTYKULARYZM

Fachowców zatem brak — z jednej strony, z drugiej zaś — właśnie fachowcy muszą kołatać do biur 220 przedsiębiorstw, którym podlega 600 otwartych zakładów pralniczych oraz 5 000 pralni zamkniętych, pracujących na rzecz gospodarki uspołecznionej. Co gorsza, przedsiębiorstwa te i pralnie nie mieszczą się nawet w jednym resorcie. Mianowicie podlegają gospodarce terenowej, handlowi wewnętrznemu i usługom, spółdzielczości pracy, handlowej i wreszcie — inwalidzkiej.

W tym właśnie rozdrobnieniu leży przyczyna wielu problemów, z jakimi uporać się nie może nasze pralnictwo, do zacofania i kiepskiego wyposażenia technicznego — włącznie.

Sporo na to dowodów dostarczyły obrady II Międzynarodowej Konferencji Naukowo-Technicznej **„Pralnictwo—73"**, jaka przed niespełna rokiem odbywała się w Łodzi. Uczestnicy konferencji podjęli wówczas uchwałę, w której stwierdzono dobitnie, że

„...zachowanie przez czas jak najdłuższy użytkowych cech wyrobów włókienniczych jest sprawą, jakiej nie można pozostawić wyłącznie trosce ich użytkowników. Niestety, nasze pralnictwo nie spełnia wcale tego zadania, gdyż — w porównaniu z innymi krajami socjalistycznymi — stoi na bardzo niskim poziomie".

Uchwała stwierdzała dalej, że przyczyną takiego stanu rzeczy jest brak jednolitej koncepcji rozwojowej pralnictwa jako całości, rozdrobnienie i partykularyzm w działalności inwestycyjnej (prowadzące w rezultacie do mało efektywnego wykorzystania stosunkowo dużych w sumie nakładów!), a także — generalnie pojmowana — dezintegracja organizacyjna i rozdrobnienie techniczne bazy usługowej.

Postulowano wówczas — nie po raz pierwszy i nie ostatni — zintegrowanie całego pralnictwa przez prowadzenie właściwej polityki inwestycyjnej, powołanie międzybranżowego organu organizacyjnego, rekonstrukcję bazy technicznej w ramach scalonych środków finansowych i wreszcie współpracę z przemysłem chemicznym i włókienniczym. Niestety, postulaty te pozostały — jak dotąd bez echa — ze strony najbardziej zainteresowanych, czyli ze strony pralnictwa reprezentującego poszczególne dziedziny gospodarki.

Co gorsza, w dyskusjach na temat stanu naszego pralnictwa jako jeden z nielicznych jego pozytywów tu i ówdzie wskazuje się właśnie jego... rozdrobnienie. Poważni nawet publicyści wysuwają argument, że coraz gęstsza sieć coraz drobniejszych i mniejszych zakładów pralniczych jest niezaprzeczalnym plusem naszych usług, które tym samym stają się coraz bardziej dostępne dla każdego.

Argumenty tego typu tylko z pozoru są trudne do obalenia. Osnute zostały bowiem na kanwie wyświechtanego już hasła: **„Usługi bliżej klienta"**, po drodze jednak wypaczyły jego sens, doprowadzając do zupełnego pomieszania pojęć.

„Usługi bliżej klienta" — hasło to nie obliguje wcale do zachwytu z powodu, że w kilkunastotysięcznym osiedlu mieszkaniowym lub w gminnym miasteczku wybudowany został kolejny lilipuci zakład pralniczy. Co najmniej taki sam entuzjazm powinien wzbudzić fakt, że w tymże miasteczku czy osiedlu po prostu uruchomiono kolejny punkt przyjęć bielizny i odzieży do prania. Do prania, które odbywa się w gigantycznym zakładzie pralniczym metodą przemysłową. Zakładzie, który obsługiwać może kilka małych miasteczek czy jedno większe miasto, zapewniając przy tym znacznie wyższy poziom jakości usług, a także skracając terminy ich wykonywania.

Fot. Włodzimierz Parys

Uogólniając ten przykład, powiedzieć można, że nie ma co się cieszyć z pomyślnego rozwoju rękodzieła, w czasie gdy jedynie uprzemysłowienie może uratować nasze pralnictwo. Dopóki bowiem nie zajdą w nim zasadnicze, daleko sięgające zmiany, dopóty niejeden jeszcze klient będzie odsyłany do domu z bielizną, bo mu w pralni powiedzą, że za... brudna, dopóty też wielu klientów prać będzie musiało w domu bieliznę którą mu w pralni... ubrudzono.

JACEK INDELAK

ZDOLNY STUDENT — WIELKI KŁOPOT?

STUDENCKIE BIURO MENAŻERÓW

Stanisław Bąkowicz pisał niedawno na łamach „Odgłosów" w artykule „I ty zostaniesz Edisonem" o studenckim ruchu naukowym. Do problemów tych, ale w kontekście dyskusji i postanowień I Kongresu Studenckiego Ruchu Naukowego powraca Małgorzata Golicka.

Studencki ruch naukowy to przedziwne zjawisko. Jak twierdzą złośliwi, jest to rezultat wyrzutów sumienia wyższych uczelni, które nie kształcąc studentów jak należy, przystały na namiastce właściwych rozwiązań — studencki ruch naukowy. Owa opinia byłaby tym bardziej prawdziwa gdyby rzeczywiście koła naukowe miały swobodę działania i posiadały szerokie możliwości pracy i badań. Dotychczas bowiem mimo długoletnich osiągnięć koła pracowały bardzo nierówno. Krępowały je ciasne przepisy, nie wyjaśniona kwestia finansowania, brak miejsca w laboratoriach i pracowniach uczelni, gdzie odbywają się normalne zajęcia kursowe. Do tego dodajmy trudności z publikowaniem wyników studenckich prac naukowych oraz rozżalenie naukowców, opiekunów kół z powołania, których prace bardzo rzadko dostrzega się na uczelniach. Dorzućmy jeszcze odczucia stagnacji i regresu w samych kołach naukowych, gdyż dotychczasowe formy pracy nie odpowiadały rozbudzonym ambicjom i chęciom studentów, a otrzymamy pełen obraz złudy.

Skąd zatem ten zwrot, skąd mniej więcej od roku ogromne ożywienie, gwałtowne spory i dyskusje? Skąd wreszcie po blisko 30 latach **I Kongres Studenckiego Ruchu Naukowego?**

Odpowiedź nie jest zbyt skomplikowana. Po prostu inne spojrzenie na studencki ruch naukowy stało się dziś koniecznością. Po drugie — po powołaniu Socjalistycznego Związku Studentów Polskich w Łodzi niemal na wszystkich szczeblach organizacji pion nauki objęli energiczni, ambitni i zaangażowani ludzie, co po blisko półtorarocznej pracy zaczyna dawać wyniki.

Innego spojrzenia na ruch naukowy wymaga przygotowana reforma szkolnictwa i proponowane zmiany w modelu wyższej uczelni. Dotychczas wyższe uczelnie nastawione były głównie na ilościowe zaspokajanie potrzeb kadrowych. Był to proces konieczny dla określonego etapu odbudowy kraju. Obecnie kiedy zaczynamy wchodzić wielkimi krokami w rewolucję naukowo-techniczną ciężar musi zostać przełożony na jakość kształcenia i przygotowanie twórczych absolwentów. Zmieniony musi zostać zatem tryb kształcenia określany jako „nauczanie przy nauce". Ten skrót myślowy oznacza aktywne kształcenie studenta w instytucie czy zespole badawczym poprzez włączenie go w prace naukowe prowadzone przez te placówki. Oznacza koniec ze schematem i sztywną strukturą studiów, oferując w zamian indywidualne możliwości kształcenia każdego studenta.

Jest to model dla przyszłości, dla którego dopiero się przymierzamy i studenckiemu ruchowi naukowemu przypada w tych przygotowaniach ogromna rola. Okazało się bowiem, że ten społeczny ruch może skrócić oczekiwania na wprowadzanie reformy w życie i już dziś przenieść do praktyki wiele jej elementów. Nie gdzie indziej, ale właśnie w kołach naukowych (oczywiście w tych aktywnie pracujących) istnieją ogromne możliwości rozwijania samodzielności myślenia, podejmowania tematów badawczych i wykształcenia umiejętności pracy zespołowej.

Możliwości wykorzystania studenckiego ruchu naukowego już dziś w unowocześnianiu wyższych uczelni i perspektywy na przyszłość doprowadziły do zwołania Kongresu.

Nie był to „grzeczny" Kongres. W zespołach problemowych ścierały się poglądy, a dyskusje przenoszono daleko poza sale obrad. Wiele jest bowiem poglądów na temat studenckiego ruchu naukowego: od propozycji aby koło było „przypisane" do Instytutu i pracowało w ramach jego działalności — poprzez opinie o „parodiowaniu" przez studentów nauki — do śmiałych projektów powoływania np. studenckich biur projektowych czy badawczych.

O Łodzi mówiono na Kongresie dużo i często, głównie dlatego, że łodzianie reprezentowali zwartą i jasną koncepcję działania, na Kongres przyjechali naukowcy, opiekunowie kół z rektorem Uniwersytetu Łódzkiego — prof. dr Januszem Górskim na czele, że prezentowali tam jedność środowiska akademickiego.

W zespole **„Studencki ruch naukowy integralną częścią kształcenia w szkole wyższej"**, którego obrady przygotowali przedstawiciele Łodzi rzucono m.in. projekt wypracowania form tzw. **„małej dydaktyki"**. Studenci starszych lat otaczaliby opieką dydaktyczną młodszych członków kół i wprowadzali w prace badawcze grupy studenckie. W ten sposób przy podejmowaniu przez koło prac na odpowiednio wysokim poziomie student już na III r. mógłby przystąpić do przygotowywania pracy dyplomowej, podjąć pracę asystenta — stażysty i wcześniej przystąpić do badań nad pracą doktorską, skracając w ten sposób czas na odbywanie stażu na uczelni. Taki styl pracy byłby cenny nie tylko dla przyszłych pracowników naukowych, których część i teraz wywodzi się z kół, ale dla wszystkich zdolnych i wybijających się studentów. Koła naukowe grupują bowiem elitę talentów i umysłów, którym trzeba na uczelni pomóc się rozwijać.

Łódzcy studenci i pracownicy naukowi traktując studencki ruch naukowy

Dalszy ciąg na str. 11

ODGŁOSY

WYDANIE SPECJALNE 25 MAJA 1974 ROKU – ŁÓDŹ

9 ogólnopolski festiwal poezji

OBECNOŚĆ LITERATURY

„ODGŁOSY": Wkroczyliśmy w rok jubileuszowy, a to zawsze zachęca do refleksji sumującej. Jako prezes oddziału łódzkiego Związku Literatów Polskich, jak Pan więc ocenia miejsce naszego miasta w układzie współczesnej kultury polskiej, a zwłaszcza rolę, jaką odgrywa w tym układzie środowisko pisarskie?

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI: Proszę wybaczyć, ale nie mogę się uwolnić od pewnej osobistej refleksji. Pochodzę z Kielecczyzny, uczęszczałem do słynnego gimnazjum sportretowanego w „Syzyfowych pracach", w którego murach kształcił się Stefan Żeromski, a z pisarzy współczesnych Julian Rogoziński, Edmund Niziurski czy Józef Ozga Michalski. Otóż w moich młodzieńczych latach jako gimnazjaliści recytowaliśmy „zadany" wierszyk, zaczynający się od słów „A Warszawa miasto duże...", który lapidarnie rysował rolę wielkich miast polskich. Autor wierszyka nie poświęcił Łodzi ani jednej linijki, bo to nie było — jego zdaniem — miasto mające coś wspólnego z kulturą.

A przecież już w latach międzywojennych nie wolno było nie dostrzegać naszego miasta, nie tylko dlatego, że Łódź była potężnym ośrodkiem pracy, ale także ze względu na jej wkład w rozwój polskiej kultury. Nie zapominajmy, że tradycyjnie była miastem polskiej lewicy kulturalnej, a w latach trzydziestych, dzięki działalności grupy a.r. stała się taktyczną stolicą postępowej poezji i plastyki, że niemałą rolę odgrywała powstająca tu lewicująca literatura.

To ważny rodowód, gdy zastanawiamy się także nad dzisiejszym miejscem Łodzi na mapie kulturalnej kraju. Wydaje mi się, że nasze miasto nie tylko nie zaprzepaściło nic ze swego dorobku, ale jeszcze poważnie go rozwinęło. I jeśli odczuwamy pewien niedosyt, to nie ze względu na brak dokonań, które są doprawdy imponujące we wszystkich dyscyplinach sztuki, ile raczej ze względu na to, że dorobku tego nie potrafimy ukazać w samym mieście i poza jego granicami. Nietrudno o przykłady. „Odgłosy" niedawno słusznie zwróciły uwagę na milczenie wokół filmu Podgórskiego, który jest przecież ekranizacją powieści Ryszarda Binkowskiego „Pójdziesz ponad sadem", chociaż temat tego obrazu niejako naturalnie obligował władze kulturalne do premierowej prezentacji w Łodzi. Odwracając więc postawione mi pytanie mogę powiedzieć, że na mapie kulturalnej Polski nasze miasto jest dość zasłużone w niedocenianiu własnych dokonań. Nie chciałbym przeceniać znaczenia środowisk twórczych, ale wydaje mi się, że tu, na miejscu, zbyt rzadko doznajemy satysfakcji, która jest naturalną potrzebą artysty. A w tej sytuacji nie dziwi już, że Włodzimierz Maciąg spisując dzieje powojennej literatury polskiej nie dostrzegł łódzkiego środowiska pisarskiego, że równie swobodnie postąpił Andrzej Lam układając swoją antologię współczesnej poezji polskiej. Cechuje nas bowiem nad wyraz rozwinięta umiejętność przemilczania wysiłku i uznania.

„ODGŁOSY": Ten pański krytycyzm bierze się chyba stąd, że problematyka kultury wypierana była niejako przez zagadnienia gospodarcze i socjalne, co w warunkach łódzkich wynikało chyba z konieczności ustalenia hierarchii spraw do najpilniejszego rozwiązania. Wiemy dziś, że zadań tych nie wolno odrywać, jeśli rzeczywiście chcemy przekształcić oblicze naszego miasta...

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI: Można się cieszyć, że ten pogląd utorował sobie prawo obywatelstwa, a dowodem znaczenia roli kultury w naszym mieście może być choćby przygotowywanie Plenum KŁ PZPR poświęcone tej problematyce. Wiele się przecież w sytuacji kultury zmieniło, żartobliwie mówiąc wyrosły nam przez ten czas nowe instytucje artystyczne jak choćby ciesząca się zasłużenie wysoką opinią opera, ale jednocześnie rozsypały się dwa teatry. Przekształcenia dotyczą nie tylko bazy materialnej kultury, zmiany objęły także środowiska twórcze, a wśród nich pisarskie.

Najbardziej uchwytne są zmiany ilościowe, nasz oddział liczy dziś 58 członków, co stanowi istotny postęp, ale o wiele ważniejsza wydaje mi się problematyka, którą pisarze łódzcy ukazali w najrozmaitszych rodzajach twórczości. Członkowie naszego oddziału spenetrowali nowe obszary nie tylko w sensie treściowym, ale także poprzez opanowanie rodzajów literackich i technik przekazu. Dawno już przezwyciężyliśmy kryzys spowodowany exodusem pisarzy do odbudowanej stolicy, kiedy to nasz oddział ze 100 członków skurczył się do 27. Można powiedzieć, że został nie tylko odbudowany, ale także odmłodniał, przez co rozumiem nie tyle średnią wieku członków, ile nowe sposoby wyrazu artystycznego.

Do niedawna dzieje pisarstwa związane były z dziejami książki. Ale dziś nie można ich utożsamiać z tradycyjną kulturą druku, chociaż rola książki jest w dalszym ciągu zasadnicza. Środowisko łódzkie, w którym dominowała poezja, przeszło charakterystyczne przeobrażenie. Członkowie naszego oddziału coraz częściej znajdują źródło satysfakcji autorskiej w wypowiedzi prozą artystyczną i opowiadaniu.

Warte podkreślenia są także podjęte przez nasze środowisko próby sceniczne. Sprawdzili się w teatrze Karol Obidniak i Władysław Orłowski, a w teatrze polskiego radia odniósł jeden z największych sukcesów Leon Gomolicki, którego słuchowisko uznane zostało za najlepszą premierę roku.

W tej charakterystyce środowiska warto wspomnieć o krytyce literackiej, która, niestety, znajduje się w zastoju i doprawdy trudno byłoby wskazać obszary, które dobrze zagospodarowała. Ale to pochodna szerszego zjawiska, o którym mówiłem na początku. Odnoszę wrażenie, że czyni się u nas wszystko, żeby wybitne zjawiska przedstawiać jako średnie, podobnie zresztą jak zjawiska mierne, które doznają w ten sposób niezasłużonej rehabilitacji. Krótko mówiąc wielki wysiłek jest niedoceniony, zaś mały przeceniony. Bierze się to nie tylko stąd, że brak krytyków. Po prostu system wartości nie funkcjonuje należycie, jakby nas tutaj nie było stać na głębszą refleksję krytyczną. Jest to zresztą sytuacja, którą bez trudu można dostrzec także i poza Łodzią.

„ODGŁOSY": Ambitna krytyka powinna być samoświadomością literatury. Czym Pan tłumaczy ten niedowład krytyki w łódzkim środowisku literackim?

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI: Można by to tłumaczyć zadawnioną praktyką, ale to niczego nie wyjaśnia. Możemy co najwyżej obserwować jej skutki i nie dziwiłbym się, gdyby ktoś z zewnątrz uznał Łódź za miasto pragmatystów, w którym zamiast rzetelnej oceny krytycznej kreuje się primadonny jednego sezonu.

Wydaje mi się jednak, że z różnych powodów nie dość silnie ujawniła się nowa generacja polonistów, wychowanków Uniwersytetu Łódzkiego, których stać na głębszą refleksję krytyczną. Ta twórczość nie może się jednak dostatecznie wyraźnie ujawnić z braku miejsca, a gdzie mogłyby się spotkać krytyczne opinie i poglądy. Radio, telewizja, prasa codzienna i „Odgłosy" ze względu na swe szerokie funkcje nie mogą w pełni sprostać temu zadaniu. A przecież dorobek kulturalny Łodzi wymaga zobiektywizowania poprzez głęboką, rzetelną krytykę.

„ODGŁOSY": A jak ocenia Pan próby opanowania przez pisarzy innych technik przekazu, takich choćby jak film?

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI: Wspomniałem już o obecności pisarzy w teatrze i żałować należy, że uległ likwidacji Teatr Propozycji, który dawał szansę konfrontacji tekstu literackiego z deskami scenicznymi. Równie wielką satysfakcję twórczą może dawać film. Szkoda oczywiście, że Łódź jest wciąż tylko centrum produkcji filmowej, że brak tu na miejscu dyspozycyjnego ośrodka twórczego w postaci zespołu realizatorów. A przecież mimo tej trudnej sytuacji możemy mówić o owocnej współpracy łódzkich pisarzy z filmem, dla którego literatura wciąż pozostaje atrakcyjną karmą. Powstały przecież filmy w oparciu o książki Bilińskiego, Binkowskiego, Czarneckiego. Literatura wkroczyła do radia i nikt by jej się dzisiaj nie ośmielił usunąć z telewizji. Możemy mówić więc o całej grupie literatów łódzkich, którzy starają się dotrzeć do odbiorcy najbardziej nowoczesnymi kanałami przekazu.

„ODGŁOSY": Czy te dokonania w dostatecznym stopniu odbijają obecność środowiska pisarskiego w życiu kulturalnym Łodzi?

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI: No cóż, twórczość literacka, choć nie tylko ona, jest kategorią osobniczą. Dlatego wcale nie jest łatwo odpowiedzieć na pytanie, jaką rolę odgrywa w tym mieście środowisko literackie jako całość, niezależnie od różnic światopoglądowych czy artystycznych. Można jednak to pytanie sprowadzić do kwestii czy Związek Literatów Polskich może być istotnym komponentem życia kulturalnego miasta.

Na pierwszy rzut oka można dostrzec charakterystyczny paradoks. Gdy rozmawiamy o naszej działalności na zewnątrz a także w samym mieście, to jesteśmy na ogół bardzo krytyczni, co przecież ma swoje uzasadnienie. Ale często jest to chyba krytycyzm na wyrost. Mam za sobą wiele podróży po innych ośrodkach twórczych. Choć sami siebie oceniamy krytycznie, jesteśmy przez innych stawiani bardzo często jako wzór prężnego i znaczącego ośrodka literackiego. Przecież od kilku lat próbujemy brać udział w tym święcie, które nazywa się Łódzką Wiosną Artystyczną dzięki organizowanym przez nas Ogólnopolskim Festiwalom Poezji. Próbujemy także nawiązać pogłębiony kontakt z czytelnikiem prezentując twórczość pisarzy o podobnych zainteresowaniach jak na przykład grupowe spotkania autorskie tłumaczy, poetów, prozaików, próbujemy — niekiedy z powodzeniem — współpracy z zakładem pracy. Ale mimo tych inicjatyw nie potrafiliśmy wnieść do Łodzi tego, co się nazywa potocznie fermentem intelektualnym i szeroką dyskusją o literaturze zwłaszcza w środowisku pracy. Właściwie dopiero teraz można mówić o naszych kontaktach pisarzy z klasą robotniczą, chociaż nasze środowisko zainicjowało tę współpracę jako pierwsze w Polsce. Nie potrafiliśmy jednak ukształtować właściwego modelu mecenatu społecznego wiążąc się trwalej z zakładami pracy, co byłoby szansą dla obu stron. Nawet nie chodzi o to, żeby przezwyciężyć nieufność, ile raczej, aby w naszych spotkaniach z robotnikami podejmować centralne zagadnienia współczesności. Planujemy jesienią sesję, na której będziemy chcieli zastanowić się, czym powinna być literatura 30-lecia, co powiedzieliśmy w niej o ludzkiej pracy, czy znaleźliśmy artystyczne narzędzia do wyrażenia ludzkiego wysiłku. Chcielibyśmy także przedyskutować problem współczesnego patriotyzmu w literaturze, bo jest to temat żywo interesujący czytelnika.

Skromne dotychczas warunki lokalowe oddziału nie pozwalały nam na zdecydowane zaakceptowanie obecności pisarzy w życiu kulturalnym miasta. Ale już wkrótce sytuacja ulegnie zmianie na korzyść, gdyż władze miasta skłonne są nam powierzyć obiekt, który stać się może czymś w rodzaju domu kultury naszego środowiska, w którym szeroko będziemy mogli prezentować dokonania pisarzy. Ten wielofunkcyjny dom pozwoli nam nie tylko przedstawiać własną twórczość, ale także kształtować ją poprzez nowe techniki wypowiedzi takie choćby jak teatr czy film.

„ODGŁOSY": Wspomniał Pan o Ogólnopolskim Festiwalu Poezji. Jak ocenia Pan dorobek łódzkiego środowiska z perspektywy ośmiu dotychczasowych festiwali?

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI: Jako prozaikowi trudno mi wypowiadać się w materii tak delikatnej jak poezja współczesna, którą festiwal rokrocznie sumuje. Tym wszakże, co jest uderzające, to nieustanne odchodzenie od modelu festiwalu wypracowanego w połowie lat sześćdziesiątych. Ten model już dziś nie mógłby się sprawdzić społecznie. Dlatego też w roku bieżącym chcielibyśmy mieć festiwal, który określi mnogość funkcji poezji, ukaże przenikanie jej do rozmaitych dyscyplin sztuki, a tym samym udokumentuje rolę, którą odgrywa ona jako źródło inspiracji artystycznej i niepokoju twórczego. Nie można dziś bowiem wyobrazić sobie poezji samotnej, poznawalnej tylko przez tomik poetycki. Istnieje oczywista relacja pomiędzy poezją i filmem, to samo da się powiedzieć o teatrze, a mam tu na myśli nie tyle jego rapsodyczne wydanie ile scenę wielkiej metafory. Także literatura faktu i proza artystyczna karmią się poezją i korzystają z jej dziedzictwa.

W każdym z nas istnieje naturalna potrzeba wzruszenia i to jest niewątpliwie szansa dla poezji. Tym bardziej, że żyjemy w świecie zdezintegrowanym, a sensem poezji jak literatury w ogóle, jest szukanie idei łączących i to jest jej szansa dodatkowa.

„ODGŁOSY": Korzystając z okazji chcemy zapytać Pana o osobiste plany twórcze...

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI: Spodziewam się, że w bieżącym roku ukażą się moje dwie nowe powieści. Pierwsza z nich to nagrodzona przez Wydawnictwo „Śląsk" powieść „Pojednanie", w której starałem się ukazać genezę naszego powojennego trzydziestolecia. Obok tej książki wydam w Wydawnictwie Łódzkim powieść dla młodzieży „Ściśle tajne". Jednocześnie w Związku Radzieckim ukaże się przekład mojej powieści pt. „W ostatnią godzinę", którą opublikowałem w „Czytelniku". Dla tego samego wydawcy piszę aktualnie powieść obyczajową, a można także nazwać ją miłosną, w której staram się ukazać historię osobniczą w pryzmacie „wielkiej historii".

Rozmawiał:
KONRAD FREJDLICH

Po raz dziewiąty już Łódź gościć będzie Ogólnopolski Festiwal Poezji, tradycyjnie jedno z najważniejszych spotkań poetów i krytyków literackich naszego kraju. Ta przedjubileuszowa liczba jest nie tylko dowodem trwałości, ale przede wszystkim dowodem społecznej potrzeby jego funkcjonowania w życiu literackim Polski. I chociaż wiersze nie powstają na festiwalach to przecież rozmowa o poezji, konfrontacja postaw, poetyk i dokonań, których widownią jest zazwyczaj trybuna zjazdowa, mają niemały wpływ na rozwój współczesnej poezji. A co ważniejsze spotkania łódzkie przyczyniają się do przełamania samoizolacji poezji przydając jej nowych czytelników.

Przyzwyczailiśmy się tak do mówienia o kryzysie słowa poetyckiego, że nie dostrzegamy ogromnych obszarów twórczej działalności, które poezja wzięła w swoje władanie. Tegoroczny festiwal odbywający się pod hasłem „Relacje i zależności" powinien wydatnie przyczynić się do zburzenia tego rozpowszechnionego przesądu. Wrażliwość poetyckiego widzenia przeniknęła przecież także do innych dyscyplin sztuki na prawach dobrze pojętego partnerstwa. I tym właśnie sprawom poświęcona będzie festiwalowa dyskusja poprzedzona wystąpieniami wybitnych znawców przedmiotu.

Tak więc w pierwszym dniu łódzkiego zjazdu kompozytor Andrzej Hundziak będzie się zastanawiał nad związkami łączącymi poezję i muzykę. Z kolei prof. dr Bolesław Lewicki przeanalizuje wzajemne relacje poezji i filmu, prof. Henryk Anders, prorektor PWSSP w Łodzi omówi stosunek poezji do malarstwa.

W drugim dniu festiwalu obrady przeniesione zostaną do Piotrkowa Trybunalskiego. Doc. Stanisław Kaszyński omówi tam zagadnienie obecności poezji w teatrze, zaś dr Jerzy Poradecki przedstawi wzajemne związki poezji i prozy. Nad sprawnym przebiegiem dyskusji czuwać będzie znany krytyk, a jednocześnie tłumacz z literatury francuskiej Julian Rogoziński.

Tradycyjnie rozstrzygnięty zostanie, stanowiący ogromną szansę zwłaszcza dla nowo wstępujących poetów, konkurs na wiersz o tematyce dowolnej. W jury tego konkursu zasiadają wybitni poeci i krytycy literaccy: Maciej Józef Kononowicz, Andrzej Lam, Bogdan Ostromęcki, Jarosław Marek Rymkiewicz, Stefania Skwarczyńska, Michał Sprusiński i Marek Wawrzkiewicz. To samo jury przyzna także nagrody za najlepszy tom poezji wydany w okresie między festiwalami, za wydany w tym samym czasie tom esejów o poezji oraz uhonoruje najlepszy książkowy debiut poetycki. Niezależnie od tego zostanie przyznana nagroda specjalna z okazji jubileuszu 30-lecia PRL za wydany po wojnie tom poezji patriotycznej. Te liczne laury będą nie tylko satysfakcją dla autorów wyróżniających się książek, ale także przyczynią się do pełniejszego rozeznania mapy dokonań w dziedzinie poezji ostatniego sezonu. I to jest cecha wyróżniająca łódzki festiwal spośród innych tego typu zjazdów literackich w Polsce. Został on bowiem tak pomyślany, aby służąc wymianie poglądów pomiędzy twórcami wszystkich generacji, ujawniał jednocześnie to wszystko, co w poezji najwartościowsze, czyniąc ją trwałą cząstką społecznej świadomości.

Redakcja

MAREK WAWRZKIEWICZ

ODWYKAM OD CIEBIE

Właściwie — nic. Idę taką stromą uliczką
Nic nie wiem o zieleni. Jest
Wszędzie wielkie morze świeżego powietrza —
Poza tym, które mam w płucach —
Idę tą uliczką. I odwykam od ciebie.

Zawsze to będzie „wczoraj". Wczoraj przechodziłem
Obok twojego domu. Wczoraj przejeżdżałem
Przez tę stację, na której można było wysiąść
I zadzwonić, zapytać. Przejechałem obok.
Tak, jak być powinno. Odwykam od ciebie.

Mieszkam z inną kobietą. To jest moja żona.
Czuję ją przez odległość i przez ciepłą skórę,
Przez nasze małe sprzęty, niespodziane usta,
Listy na chmurze pisane. I to jest to właśnie,
Co nazywamy życiem. Odwykam od ciebie.

Tak właśnie jak należy. Czasem piję wódkę,
Gram w karty, piszę nudny lecz na wielu stronach
Reportaż terenowy, patrzę w telewizor,
Mimowolnie oddycham. To jest nic, a jednak
Ja tak ciężko pracuję. Odwykam od ciebie.

Właściwie nic. Odblask snu. Próba wyobraźni,
Bardzo wiele nadziei, że przyjdzie ten potop,
Który nas — nawet nas — nie ocali w sobie.
I tych lat kilkunastu. Odwykam od ciebie.

MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

POD DĘBEM

sny jak bieliznę
rozwieszam na słońcu księżyca
schną na sznurze rozpiętym
między dębem i ciszą
i żeby nie komar
co mi nad uchem bzyka
myślałbym
że śnię dalej
że zasypiam.

JAN HUSZCZA

PRAWIE EROTYK

Niewiele
mamy sobie do powiedzenia
Odległość między nami
skomnie licząc
wynosi
jakieś 20 do 25 lat

Ale chciałbym ci czapkę kupić futrzaną
Objęłaby twoje włosy
czarna nad jaskółczymi brwiami

Chciałbym dla ciebie
dużo zimy
tradycyjnie
pędzącej białymi drogami
przez lasy
Chciałbym dla ciebie
sanek z dzwoneczkami
choć nie ja będę powoził

Zostanę na zakręcie
a może w barze
słuchając skrzypienia śniegu
janczarskich brzękadełek
imienia
Ostatni mój kulig

JERZY WILMAŃSKI

BEZ TYTUŁU

Już o nim zapomnieli
zatrzaśnięto za nim
tekturowe wrota
starych roczników gazet

Jeszcze tylko się błąka
po indeksach książek

Już o nim zapomnieli
Już nie chcą pamiętać
Żarty już dziś bezpieczne
sypią się z rękawa

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

ŚMIERĆ KOPERNIKA

Bóg, co śmierci nie znosi, zjeżył się, odpłynął,
Migocząc koniuszczkami nerwów w czas odpływu.
Smok flamandzki oddawał z absydy urynę,
Gwiazdy znikły, gdyż anioł zgarnął je do przywłók.

Oddychał... tylko w oczach już płatki konwalii.
Ci pijawki, co świecę, ci w palce wtykali
(Mierzyły przybór cienia jak ostre gnomony
Tamtej Księgi na wszechświat rozskrzydlone strony...

Nie widział, nie pojmował, co pchają mu w ręce —
Wszystko widział: widzenia było coraz więcej —
Falami rozpływało się po światłokręgach...

Wstał!... aż dąb się odchylił ku oknom Ferbera*)
I szedł rylcem prującym po niebieskich sferach...
A szedł pewnie — wszak wszystko sam wymierzył w księgach.

*) Na dziedzińcu katedralnym we Fromborku, na wprost pałacu biskupiego — tamtoczesnej rezydencji biskupów Dantyszka i Ferbera — rośnie przedziwnie pochylony, jakby pod działaniem jakiejś mechanicznej siły, prastary dąb, pamiętający jeszcze niewątpliwie czasy Kopernika.

IGOR SIKIRYCKI

GAGARIN

On
pierwszy przekroczył
wszystkie horyzonty
i naśladując mit o chłopcu
ze skrzydłami zlepionymi woskiem,
runął jak pocisk
w jądro ziemi,
by udowodnić bogom,
że nadal
pozostał
zwykłym człowiekiem.

JERZY WAWRZAK

STUDIUM STRYCHU

Tu jest przyrody finał niezmiennej natury
nieużytek sprzętów wygasłe kolory
zwój pajęczyny między nocą dniem
zegar bijący z nagła w międzyczasie
koronki mięty kolonie owoców
królestwo moli strony zżółkłych książek
napisy kredą znaki w laku i werniksie
Oddech odejścia pulsuje w ciemności
znika w nim światła kaprawe lusterko
które cię czeka też następnej wiosny
nim jeszcze bardziej skrzywi się twarz z fresku
i ptak zaskrzypi niecierpliwie w oknie

Tak studium strychu ma charakter sporu
o byt na dole pod zgniłym pułapem
o kształt okienny i ciężar zapachu
o perspektywę światło esencje koloru

o dzień dzisiejszy na mapie wszechczasów.

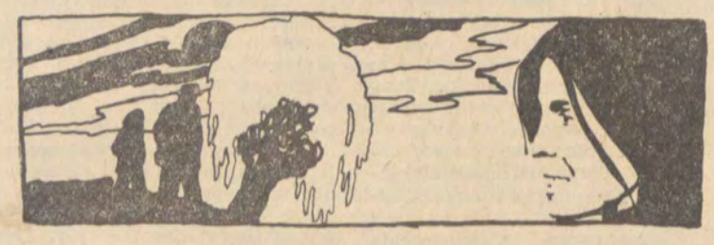

JAN CZARNY

MIASTO

fantazja jest trampoliną do wszystkich
nie istniejących światów —
dwie kopuły zbudowane przez głupca
zmieniają miasto w czarodziejski gród
milicjanci w szklanej budce uzgadniają przez telefon wieczność
kasztanek w białe i czerwone łaty dopiero co
wyskoczył z zielonej kolczugi
potrząsa niespokojnie głową — on i jego bryczka
to najważniejsze rzeczy w tym ruchliwym mieście
wiedzą o tym dzieci
siadają na bryczkę i odbywają dalekie podróże
do Seradamu do Oranżadii

BOGUSŁAW SIKORSKI

... matce

To tylko Twoje ręce. Twoje ręce codziennie mierzą czas życia.
To tylko twoje ramię układa ulice z wzorzystej tkaniny.
To tylko twoje myśli z codziennym lotem gołębia z pracą żeglarza i falą sztormu. To tylko twoje oczy. Zielone twoje oczy układają dni w kolorowy krajobraz. To tylko ty byłaś, tylko ty jesteś i tylko ty będziesz. To tylko twoją jesteśmy zbudowani dłonią.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

EPITAFIUM DLA POETY

Tu leży sztuk-mistrz, ten, który roztaczał
tańczące gaje i jasne doliny,
który ze słów wywodził ludzi
(ich wnętrza jak wosk urabiał
piórem w trzech palcach prawej dłoni),
żył w różnych czasach i żyć zdołał,
mając je za jeden i z j e d n y m się zmagał,
darem jego były najpiękniejsze kobiety,
zbrodnie, zdrady, polityka i prostytucja.
Zaiste to światy godne pozazdroszczenia.

A naprawdę był jednym z wielu.
Jadł, śnił o dobrobycie, pił
(o ile starczało),
mieszkał w ciasnym pokoju wśród książek
godzinami dumając na łożu;
plotkował i chodził na spacery.
Czytał korę brzóz, słuchał zmarłych
i ptaków.
Nie wdzięczyły
mu się nimfy nad brzegami strumieni,
widząc wielką obłudę wielkich miast
i gwarliwość znikomych ich prawd
uciekł do natury, by nie wstydzić się prawd
wielkich jak słowa, którymi obdarzał milczenie
(gdziekolwiek przechodził).
Pomyśl, przechodniu jednego życia:
ta wielość istnień, którą powołał,
pożarła go bezlitośnie w imię prawdy,
którą zwalczał.

Na imię jej Niewdzięczność,
jak powiadają w moim kraju

27.II.1974

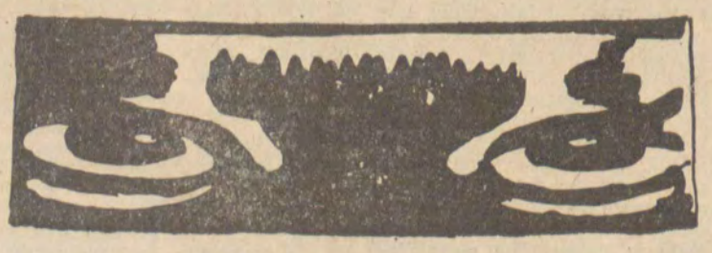

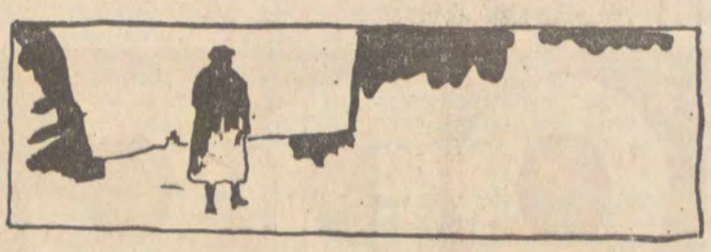

KONRAD FREJDLICH

RÓWNANIE

tutaj będzie początek
tutaj punkt postawisz
w przestrzeni kartezjańskiej
w gorączce
w południe
czułe znamię oddechu od bólu dotkliwsze
aksjomat wydobyty z rumowiska zwątpień

niechaj to będzie ostrzej niż spadanie ptaków
przez powietrze rozdarte bezwzględnością lotu
połącz ptaka z czułością
kombinatoryka
albo swe ciepłe drżenie podaj mi na dłoni

jak wiele niewiadomych wśród tego trzepotu
co mi rękę wypełnił pulsującym puchem
więc zaprzecz podzielności ziemi ptaka dłoni
a ja z nich wyprowadzę aksjomat najpierwszy

HENRYK HARTENBERG

KTO BĘDZIE CZESAŁ TWOJE WŁOSY

Ręce
Bez nich słowo nie odżyje w klęsłości dnia
Ogniki na bagnach nie zapłoną
I topielec nie wypłynie o świcie
Bez nich kto odtworzy lot ptaka nad miastem
Bieg ryby ku wodorostom i ogrody wtulone w cień
Bez nich liść nie zaszeleści w sitowiu
I żaden śpiew nie wytryśnie w bardonie
Bez nich kto most przez wieczność przerzuci
Kto echem wybieli nasz świat
Kto uchyli dno twojego istnienia

Bez nich
Kto będzie czesał twoje włosy i uśmiechem się dzielił
Bez nich kto ożywi mój sen
I miłość zatrzyma

TERESA GABRYSIEWICZ-KRZYSZTOFIKOWA

SYRENA

Moją warszawską syrenę
zawieźli budą
na Pawiak
czerwoną łuską spłynęła
szumiały trzciny włosy
rzucili na śmietnik
śmieszny
blaszany mieczyk i tarczę
myśleli
symbol umarłych
myśleli
baśni wiślana
i wilcze pyski
unieśli
ku księżycowi
posoką
plunęła z kulomiotu
w krwawe zmętniałe ślepia

FELIKS RAJCZAK

KAUKASKIE SOSNY

Od Abchazeti idą sosny
Których imienia nie wymówię
Pod ręce wzięły się w alejach
Gaju i tańczą w rytmie cykad

Gdy pojęliśmy ich pragnienie:
Wyjść w góry nocą powleczone
Czy zrozumieją nasze ścieżki
Przemykające w ich oddechach

Że krzywdy od nas nie zaznały
W oczy spojrzymy Kazbekowi
Lecąc nad ich srebrną koroną
Zapadłą w sen w źródłach Tbilisi

MIECZYSŁAW KUCNER

ŻYCIE NA KREDYT

Pełno tu dziurawych i dziurawych spojrzeń,
rąk i uśmiechów wymierzonych do nas,
trutych przez cywilizację, więzionych przez sprzęty,
przez konwencję, regułę ręki martwej.

Nudzi nas widok z pociągu, zachód słońca,
nudzi płaszcz wiosny rozpięty nad jałowym dniem
i próżność zabija z nas tych, którzy kochają
mieć więcej; stosunków, ucieczek i powrotów.

Nasze najlepsze chwile to te pośród automatów
takich samych jak my: niczego nie pragniesz,
słuchając muzyki, tańcząc lub spółkując,
pasożytując na swoim Ja.

RAFAŁ ORLEWSKI

AMOROSO

a jeśli ja jestem
ty jesteś bez słowa
gałęzią kwitnącą przez moje ramiona
i tą czereśniową piosenką nam pierwszą
i listkiem akacji układanym w przyszłość
i wyznaniem w piasku które deszcze uświęcił
i tancerką w piersiach
i rytmem oddechu

i jeszcze zapytam
i jeszcze odpowiesz

a jeśli ja byłem
tyś oczekiwaniem
nadzieją powietrza na wiosenne wody
a potem ich drżeniem
gdy wiatr pieszczotliwie
dotyka powierzchni niewidzialną dłonią
a wokół pękanie pąków —
przeczuwanie siebie

a jeśli zostanę
ty klękniesz wśród trawy
gdzie buki strzegą słów moich granicy
i — włosy swoje zamieniając
w wiersze
wejdziesz płonąca
krzakiem dzikiej róży
w pieśni które niosłaś
gdym jeszcze żył w tobie

GRZEGORZ KOŚCIŃSKI

★ ☆ ★

Dalekie porty egzotyczne wyspy
Przemiające obok siebie olbrzymie okręty
Zapadające w bezmiar oceany
Ów letarg w którym świat przerasta siebie
Budzi nieustanne pragnienie sprowadzania rzeczy do właściwych wymiarów

Każde otwarcie oczu na nowo budzi sen
Podwójnie głęboki
Który śni możliwość śnienia siebie w innym śnie
Regenerują się tkanki odrastają odcięte głowy
Języki zlizują gwiezdny pył
Na oczach ślepca wykwitają wszechświaty
Nigdy nie kończąca się udręka
Każe umierać trupom w nieskończoność
W wieczności
Topielec tańczy między gwiazdami
Z nadzieją na nowe życie

JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

TEZEUSZ

Wyrwij mnie jak wyrywa się kwiat
z wiedzy o nim
która zbyt długo kwitła
miej mnie w samotności bezgranicznej
skały morskiej bez wód
poza rzeczami i wiedzą o rzeczach
bądź we mnie jak przemiany
nocy i dnia
bezkresne — określające bezkres
miej mnie dla bogów
którzy śnią słodko
wiedzę o mnie

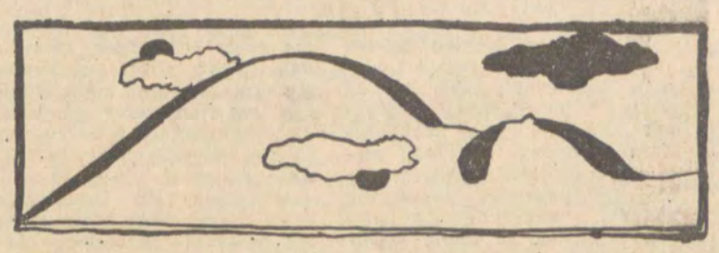

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

★ ☆ ★

Przenosimy pojęcia Ten kamień
to jest teraz Mont Blanc Ta pleśń
to śniegi Spędzę z tobą sezon w Alpach

Przenosimy pojęcia Ta kałuża
jest Morzem Egejskim z muszlami
w różowe cętki pocałunków

Przenosimy pojęcia To jabłko
jest ziemią zatrzymaną w biegu
bo znalazłam w tobie punkt oparcia

Przenosimy pojęcia To nie katar
To umieram za świętą sprawę
Przenosimy pojęcia To nie moda
Budowałam kombinat A teraz buntuję się na serio

Trzymamy się za ręce
Jak przez białe mosty
przechodzi przez nie pojęcie
Wte i wewte

Przelewamy z pustego w próżne
Odlewamy z próżnego w puste
Zawracamy kijkiem Wisłę
Budujemy nowy świat.

JANUSZ KRÓLIKOWSKI

SAMOBÓJSTWO

Z braku szansy na dokonanie odwetu
z poczucia winy wyprzedzającej działanie
rodzi się potrzeba przebudowania wnętrza

Poeta słońca obdarzony władzą
który znieść nie potrafi widoku nadciągającej burzy
najpierw
zabija siebie w gęstniejących łozinach
a potem dopiero
pozwala stygnąć syczącym metalom

Tętent uciekających pleców sprawia
że umarli głęboko mylą się w swoich dołach
przewidując winobranie

To tylko spuchnięta od upadku ziemia
popycha wodę w strumieniach

To tylko woda przedrzeźniając upływ czasu
sprawiedliwie obdziela ludzi żebrzących na brzegu

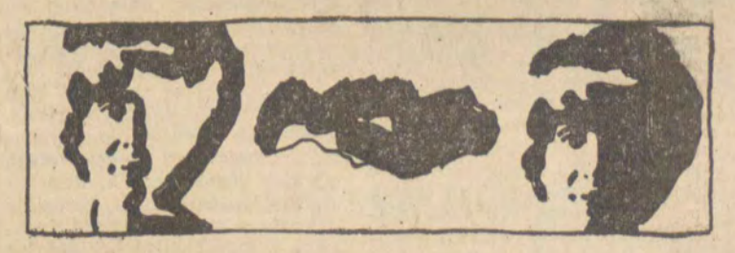

MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN

PIOSENKA

To straszne, to straszne,
szepcą matki usta,
kiedy pomrzemy ziemia będzie
jak trumna pusta.
Ziemia będzie bez ptaków
kamieniem ukamienowana.
Szum zielony ścięty.
W drzewie głęboka rana
Szepcą usta matki.
Truchleją płowe włosy.
Słońce popycha zegar,
wyciąga przegrane losy.
Ziemia będzie bez ptaków.
Ziemniak bez mojej dłoni.
Gwiazda śmiercią wykłuta
gaśnie i się nie broni.

ZBIGNIEW KOSIŃSKI

PIES MÓJ spokojnieszy
i barwą obu krawędziom dnia nie ustępuje
Od ulicy pojazdów przypływy skrzypienia
usypisko złomu
W każde południe
wewnątrz rdzewiejącej obecności
w kolczastych nausznikach ludzkie uszy

Dalej się przeniosłem obecnie dalej
bliskiego nie dosięgam oparty łokciami
o stół puchowego powietrza
Pies mój zamszowłosy i senny
w ostrym świetle południa
łagodzi kąty pokoju owalem ogona

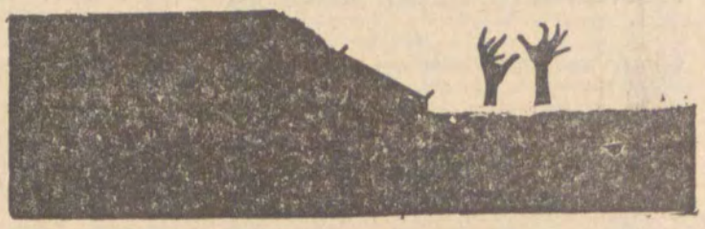

ANDRZEJ WIKTOR MIKOŁAJEWSKI

list... HALINIE

czas mojej nocy pisze każdą ciemność
godziny trwonią się i mnożą przeszłość
nie pytam cienia czy zniknie w przyszłości

mój spokój
nerwy na wodzy lęku
głos który we mnie milczy zaciśnięty

zwiedzam swój pokój — ściany tajemnicą
której nie śmiem odkryć

żyję w zawodzącym mnie zdrowiu.
we wszystkich ciemnościach czas mój oczywisty
płynie milczeniem donośnym

lecz czy mnie usłyszysz

ANDRZEJ GRUN

ZOFII...

★ ☆ ★

Oto ja
kłamca
nagi i pierwotny
w swoim kłamstwie
nagi w swej prawdzie dzisiejszej
jutrzejszej
staję przed wami
i kłamię wam
kłamię słowem
obrazem
gestem
kłamstwu nadaję pozory prawdy
prawdzie nadaję pozory kłamstwa
tańczę przed wami na linie
nad przepaścią
która ma ileś tam tysięcy lat
Proszę o brawa
Chętnie zrobię coś na bis
Taki mój zawód
Artysty
Błazna
Człowieka

WASYL KOCZNOW

PAMIĘĆ

Odeszłaś zostawiwszy szron oddechu
pajęczynę na szybie
już jesteś daleka jak ptak
chociaż lato się jeszcze nie skończyło
i wciąż jesteś obok moich oczu
dwa obłoki na kabłąkach ramion
dwa nietoperze zamiast uszu
a jednak odeszłaś jak byś stopniała
i ziemia choruje na twoją nieobecność

JERZY WALEŃCZYK

PRZEDMIEŚCIE WIECZOREM

Tą uliczką na nowe osiedle,
Tamtą do cegielni i mostu,
Tą do dziadka na cmentarz,
Tamtą do białych, wysokich akacji.

Prowadź nas, prowadź, Gwiazdo przedmieścia,
Czerwone światełko łódzkiej radiostacji.

Obrazie wymierzony zdartymi zelówkami,
Błądzenie nocą wśród pól,
Późne powroty, krzyk ptaka w brunatnej mgle,
Lasek, gdzie się wieszali bezrobotni.
Lata, lata, marzenia o poezji.

— Słyszysz, to pociąg, czy twój wiersz nadciąga,
Krzesze milczenie, ociera się o noc nad domkami,
A widząc, że to wieczór na łódzkim przedmieściu,
Wsuwa się w głąb czasu
I rozwiewa.

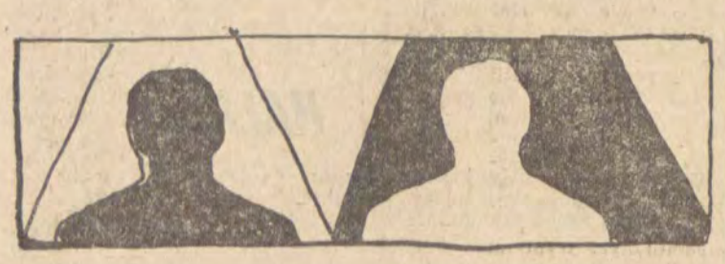

BERNARD SZTAJNERT

ODESZLI

Ci którzy mieli odejść odeszli już prawie,
Którzy powrócić mieli, wrócili częściowo —
Jedni poszli do kina, a było ich wielu,
Drudzy poszli do parku, a byli pierwszymi;
Zapowiadają siebie, zostawiają siebie,
Także zapominają, także omijają;
z ich męki nie ma chleba — brak im ciągle głodu;
Zła jest miska i ogień, i drewno, i węgiel;
Zaklęli ducha potraw, był obecny prawie,
Powietrze z ociąganiem wciągali do piersi,
Ręce mieli oddzielnie, jedni w dwuręczności
Wierzyli w zło omasty i pokarmów chudych,
Lękali się słodyczy i kwas odsuwali.
Po co oni, nikt nie wie — ich brak niedorzeczny,
Ci którzy pozostali, odrębni w wyborze,
Myślą o nich znurzeni i nie myślą prawie.

ROMAN GORZELSKI

RZYMIANIE

Jest we mnie krew Rzymian
w ięku wewnętrznym odkrywam ją w sobie
ubrana w tunikę ma tarczę i krótki miecz
chce podbijać zdobywać

Krąży we mnie duch Rzymian
w mirażach kuglarskich w gonitwie zdarzeń
które trwają do dziś wołają w jego imieniu
— idź zwyciężaj i władaj

Słyszę pod kopułą ze słońca
śpiew łaciński jak odprysk złoty wygrzebany
pośród zimnych ogni śmierci w pogoni za prawdą
i radością życia

Błądzą we mnie zaklęcia Rzymian
— wierzę w ziarno pełne głodu
wierzę w rzeźbę zaczarowaną w marmurze
wierzę w popiół z którego powstaje życie

Dudni we mnie marszowy krok legionów
potęgowany echem czarnych i czerwonych deszczy
wśród dzikiego mięsa suszy i skorej namiętności
wykonuję jej rozkaz — idę coraz dalej

Obejmuje mnie sen Rzymian
stoi w całej okazałości jak potężny gmach
powietrze stygnie a serce jak dzwon na trwogę
— wrócisz nie wrócisz zwyciężysz

Grafikę do stron 7, 8, 9, 10 wykonał ANDRZEJ GRUN

KONRAD FREJDLICH

KRYTYKA GRZECH PIERWORODNY

Włodzimierz Maciąg pisząc swoją „Literaturę Polski Ludowej 1944—1964", pierwszą w powojennym dorobku krytyki tak obszerną próbę monograficznego ujęcia twórczości piśmienniczej dwudziestolecia nowej rzeczywistości, podjął się zadania przekraczającego siły osamotnionego w swym wysiłku badacza. Ruch wydawniczy tych lat nie ma przecież równego sobie w całych poprzedzających je dziejach naszej narodowej kultury. Mówiąc to nie wartościuję, a jedynie wskazuję jego rozległość, dynamikę i żywiołowość.

Na to dziewicze pod względem syntetyzującego widzenia terytorium wkroczył krytyk raczej niż historyk literatury, pisarz raczej obdarzony temperamentem niż bezpłciowy filolog wyposażony w protezę w postaci przysłowiowego już „mędrca szkiełka i oka". I nie ma większego znaczenia, że Maciąg zabezpieczając się przed posądzeniami o nadmiar odwagi, buduje sobie we wstępie do książki alibi pomniejszając świadomie znaczenie i zakres wykonanej przez niego pracy. Powiada on tam przecież, że tym, co go interesuje jest proces tworzenia się nowej formacji historycznej i nowego modelu kulturalnego zaobserwowany przez literaturę piękną, nie zaś literatura jako całość.

Chociaż książka ukazała się dopiero w osiem lat po jej powstaniu, okazała się mimo wszystko jedyną pozycją obejmującą swoimi interpretacjami tak szeroko dorobek literacki powojennej Polski. I już choćby dlatego trzeba uznać ją za istotne wydarzenie wydawnicze. Ale ta osamotniona próba krytyczna nie jest jednocześnie wolna od grzechu pierworodnego grożącego wszystkim pionierom i wymaga szerokiej dyskusji. Nie tylko zresztą po to, aby naprawić nieuniknione w takiej pracy usterki, błędy czy przeoczenia, nietrafne interpretacje, mylne opinie krytyczne. Szeroka wymiana poglądów na temat książki Maciąga przyczynić się przecież może nie tylko do lepszego poznania dzieiów literatury polskiej doby ostatniej. Może nam ona uwyraźnić jednocześnie stan jej społecznej świadomości, przez co rozumiem obecność literatury w społeczeństwie, jej zgodność z autentycznymi odczuciami odbiorców, spójność z ich życiem duchowym, tęsknotami i potrzebami.

Dotychczasowe, czytankowe próby ukazania rozwoju literatury współczesnej czy to w podręcznikach szkolnych, czy też w popularnych, fragmentarycznych opracowaniach nie sprzyjały dyskusji nad tą cząstką świadomości społecznej, której wyraz stanowi artystyczna twórczość piśmiennicza. Dowodzą tego organizowane na przestrzeni wielu lat dyskusje prasowe poprzedzone okazjonalnymi, doraźnymi wstępami, których forma zdradzała od razu bardziej publicystyczny i zastępczy niż krytyczny charakter.

Refleksji nad pełnym obrazem polskiej literatury współczesnej nie sprzyjały także książki wybitnych krytyków, którzy z natury rzeczy towarzyszyli w swych dociekaniach zjawiskom artystycznym im najbliższym pomijając milczeniem całe obszary poezji i prozy składające się dopiero w całości na ogólną uprawę kultury. Ten stan uniemożliwiał obiektywizację dokonań literackich, wprowadzał chaos w kryteria i wartości, drażnił wazeliniarskimi zagrywkami a niekiedy czystą prywatą. Ewenementy okrzykiwane wydarzeniami dziesięcioleci kończyły często żywot czytelniczy po jednym sezonie, co podważało zaufanie do krytyki, a często także do literatury, której po przyjacielsku wyrządzano w ten sposób niedźwiedzią przysługę.

Skoro krytyka adresowana do odbiorców książek funkcjonowała tak enigmatycznie, zacierając raczej niż przybliżając treści swymi interpretacjami, tym mniejszy miała ona wpływ na literaturę. Obie funkcjonowały niezależnie od siebie na zasadach niczym nie zmąconej autonomii. I jeśli głos krytyki stawał się słyszalny były to najczęściej pretensje i dyrektywy podyktowane wydarzeniami pozaartystycznymi.

W pierwszej, eseistycznej części książki Maciąga te słabości współczesnej polskiej krytyki literackiej zostały zresztą doskonale obnażone. *„Krytyka ma raczej charakter sprawozdawczy niż inspirujący ideowo"* stwierdza dobitnie autor tłumacząc ten stan rzeczy specjalizacją ograniczającą pole obserwacji czy wręcz uniemożliwiającą formułowanie sądów ideowo-wartościujących. Dostrzegając osamotnione próby sformułowania programu literackiego przez *Artura Sandauera* i *Stefana Żółkiewskiego* akcentuje Maciąg fakt, że te usiłowania nie przemieniły się w szkoły krytycznego myślenia. Ale znajduje jednocześnie dla tego niedowładu krytyki szereg usprawiedliwień wiążąc jej słabości z wielokierunkowością poszukiwań literatury współczesnej.

„Ponieważ wielokształtna jest literatura — stwierdza Maciąg — *krytyka odnosi się do poszczególnych prób z równą tolerancją, nie podejmuje w zasadzie sporu o postawę, o wybór pryncypiów, dąży raczej do zrozumienia dorobku pisarza, jego osobowości artystycznej czy też ogólnych tendencji artystycznych, jakie istnieją i rozwijają się. Traktując je jednak jako dane, bardzo niechętnie wyraża sądy wartościujące. Stara się natomiast umieścić te tendencje na tle historycznoliterackim bądź też na mapie stylów współczesnych".*

Zdawać by się mogło, że świadomy tego stanu krytyk popróbuje go zmienić, aby przynajmniej własną działalnością dowieść, że może być także inaczej, że pozbawione dogmatyzmu widzenie może być tym bardziej wyostrzone na centralne zagadnienia ideowo-artystyczne. Obietnicę takiej praktyki zdaje się składać Maciąg we wstępie do swojej „Literatury Polski Ludowej 1944—1964", kiedy formułuje pytania pod adresem pisarzy, które można rykoszetem skierować w krytykę: *„Jaki jest rodzaj mojego istnienia? Jaki sens? Komu i do czego jestem potrzebna?"*. Ale lektura tej potrzebnej książki przynosi pewne rozczarowanie. Maciąg doskonale rysuje historycznoliterackie tło rozwoju naszego artystycznego piśmiennictwa, ale sądami wartościującymi posługuje się raczej wyjątkowo i to w odniesieniu do zjawisk, które już dawno stały się drugoplanowe.

Charakterystycznym przykładem takiej postawy jest omówienie okresu dogmatyzmu, kiedy to niemal środkami administracyjnego przymusu realizowano program realizmu socjalistycznego w literaturze. Maciąg trafnie zauważa, że ten dramatyczny period naszego życia literackiego związany był ze zjawiskiem zawężenia ambicji twórczych, które usiłowano zamknąć w rygorystyczne kodeksy. W ten sposób zamiast książek stanowiących klucz do współczesności powstawały schematyczne konstrukcje powieściowe rozsadzane przez potok epizodów i wątków. Nic też dziwnego, że rygory programowe okazały się nie w pełni szczelne, że pojawiły się na nich wyraźne rysy dzięki czemu część dorobku literackiego tego okresu mogła mimo wszystko ocaleć. Interesująco wypada porównanie załączonej do książki Maciąga listy najważniejszych nagród literackich pierwszego dwudziestolecia Polski Ludowej ze zbiorem tych tytułów, które posłużyły krytykowi jako egzemplifikacja charakteryzowanych przez niego zjawisk artystycznych. Jest uderzające, że ani w rozdziale „Program realizmu socjalistycznego i jego realizacja" ani też w bardziej od niego szczegółowym rozdziale „Poezja i proza 1949—54" ani razu nie pojawiają się nazwiska laureatów nagród państwowych tamtych lat: *Bogdana Hamery* czy *Jerzego Wilczka*, chociaż książki tych pisarzy utrwaliły się w świadomości społecznej chociażby jako szkolne lektury obowiązkowe. To charakterystyczne pominięcie świadczy o tym, że Maciąg uchylając się od bezpośredniej oceny zjawisk nie zasługujących jego zdaniem na uwagę, wypowiada pośrednio sąd wartościujący tyle, że w bardzo zawoalowanej postaci.

Pół biedy, kiedy przemilczenia dotyczą zjawisk zweryfikowanych już przez późniejszy rozwój życia literackiego, w którym dziś mogą się one zdawać mało znaczącym epizodem, chociaż nawet ich nie ma prawa lekceważyć badacz nowego modelu kulturalnego, co stanowi przecież założenie programowe książki. Jest znacznie gorzej, gdy przemilczenia dotyczą zjawisk żywych i znaczących artystycznie, a jak się wydaje próba periodyzacji najnowszych dziejów literatury polskiej dokonana przez Maciąga, nie jest wolna od uchybień także tego rodzaju. Ale o tym za chwilę.

Generalnie rzecz biorąc Maciąg rzetelnie szkicuje tendencje i kierunki poszukiwań literatury Polski Ludowej od jej zarania aż po rok 1964, który stanowi w jego książce raczej cezurę czysto techniczną niż jakiś moment w dziejach współczesnego piśmiennictwa progowy, znamionujący artystyczny przełom, zamknięcie epoki. Ale ta trafna charakterystyka zjawisk nie we wszystkich gatunkach literackich przeprowadzona jest przez Maciąga z równą sprawnością i siłą przekonywania. Dla obserwatora twórczości krytycznej tego autora może się wydać dziwne, że ten specjalista „od prozy", z rzadka tylko wkraczający na obszary dla jego wrażliwości jakby do tej pory zamknięte, w swojej najważniejszej książce okazuje się wytrawnym znawcą przede wszystkim poezji. Jej interpretacje wydały mi się najbardziej przenikliwe, najbardziej nośne w treści, stanowią jakby dominantę pozostałych analiz. Szeroko udokumentowanych jeśli chodzi o prozę, skromnie, gdy Maciąg wypowiada się o dramatopisarstwie, nieśmiało i ostrożnie, gdy przychodzi mu oceniać krytykę. Wręcz przesądny i konserwatywny jest Maciąg w swych wypowiedziach na temat literatury faktu, którą tylko z ogromnymi zastrzeżeniami gotów jest uznać za zjawisko artystyczne podobnie zresztą jak prozę eseistyczną, tak charakterystyczną dla najwybitniejszych dokonań literackich ostatniej daty. Ciekawe czy pisząc historię literatury francuskiej wahałby się Maciąg z umieszczeniem w niej nazwiska Montaigne'a, którego „Próby" uprzytomniły literaturze nowy kierunek działania, gdy spisując dzieje polskiej przeżywa rozterkę:

„Powstaje tu jednak pytanie natury metodologicznej: jeśli wymienione książki są reportażami lub pracami historycznymi, na jakiej zasadzie traktujemy je jako część dorobku literatury pięknej? Na to pytanie nie jest, wbrew pozorom, łatwo odpowiedzieć. Nie wystarczy bowiem mówić o walorach artystycznych języka; idzie tu także o pewną, wykraczającą poza rygory naukowe, wyobraźnię w interpretacji, o prymat kontrukcji ogólnej, stanowiącej własność pisarza, nad informacją szczegółową. Inaczej mówiąc dla literatury tego nurtu rzeczywistość jest dana, ale struktura czy dialektyka tej rzeczywistości staje się zadaniem dla pisarza."

Nie ma tu miejsca, by rozwiewać te wątpliwości krytyka, skoro sam sobie odpowiada, że w literaturze faktu *„narzędziem zaciekawienia czytelnika staje się sama interpretacja, sama myśl porządkująca"*. Przyjmując więc z dobrodziejstwem inwentarza nawet jego przesądy zauważmy jednak, chwaląc zaproponowany przez Maciąga obraz współczesnej poezji polskiej, że i on nie jest w pełni wolny od zniekształceń. W partii książki rysującej ogólne tendencje literatury wymienia się na przykład Stanisława Czernika jako autora nagrodzonej przez ministra kultury powieści „Ręka", chociaż ten wybitny poeta swoją twórczością i swym programem autentyzmu wywarł niemały wpływ na cały nurt poezji chłopskiej.

Jeszcze wyraźniej przeoczenia i zniekształcenia zaznaczyły się w części szczegółowej „Literatury" Maciąga, w której zestawiono cykl bio- i bibliogramów współczesnych pisarzy polskich z jednoczesną próbą charakterystyki ich twórczości. Niekiedy są to zwięzłe szkice krytyczne jak w wypadku sylwetek *Staffa, Tuwima, Broniewskiego, Gałczyńskiego* czy *Przybosia*, niekiedy zaś zaledwie streszczenie jednej, najbardziej reprezentatywnej, zdaniem krytyka, pozycji uwzględnionego w tym przeglądzie autora. Niekiedy ogranicza się Maciąg do wymienienia katalogu najważniejszych książek, jakby figurujący w jego zestawie pisarz nie zasługiwał na więcej. Można się w tej nieproporcjonalności reprezentacji doszukiwać zakamuflowanego sądu wartościującego, ale może ona mieć również przyczynę najzupełniej techniczną, wynikać z niedostatecznej znajomości zagadnienia, gdyż Maciąg, podobnie jak każdy szanujący się w Polsce krytyk, ma także swoje ulubione zjawiska artystyczne, którym chętnie towarzyszy, nie poświęcając uwagi innym, mniej mu bliskim. W pracy tak rozległej jak „Literatura" to niedostrzeganie zjawisk spoza zakresu bezpośrednich zainteresowań natychmiast się kompromituje. Oczywiście jest rzeczą niemożliwą poznanie przez jednego człowieka całokształtu dorobku literackiego Polski choćby tylko na przestrzeni dwudziestu lat. Badacz dokonujący syntezy musi tu zaufać innym krytykom, których sympatie nie zawsze zgodne są z jego upodobaniami, albo też zamarkować tylko pełne rozeznanie problemu interpretacjami wyrywkowymi.

Maciąg wybrał tę drugą drogę, która jednak wymaga szczególnej ostrożności, gdyż łatwo tu o nadużycie. Za takie nadużycie uważam choćby wykreślenie z mapy literackiej kraju twórczości Leona Gomolickiego, trudno mi także zrozumieć pominięcie w panoramie literatury dwudziestolecia nazwiska Wandy Karczewskiej, a listę tych pretensji można by przecież wydatnie rozszerzyć.

Rozwój literatury współczesnej przynosi nieustannie dowody anachroniczności szufladkowania, podziału pisarzy na poetów, prozaików, dramaturgów itp. Marzenie o czystości gatunkowej, która wprowadza rzekomy ład do rozważań krytycznych, było złudą nawet w epoce Szekspira, cóż dopiero w wieku dwudziestym, kiedy przemieszały się nie tylko gatunki i rodzaje literackie, ale także techniki i narzędzia wypowiedzi autorskiej. Do jakiej szufladki włożyć twórcę, który pisuje tylko dla telewizji? Jak zakwalifikować twórczość scenarzysty filmowego?

Są to pytania, których Maciąg nawet nie usiłuje sobie postawić i można mu to wybaczyć. Ale dlaczego *Sławomir Mrożek* uważany jest przez Maciąga za prozaika, skoro cały świat zna go jako polskiego dramaturga, tego już doprawdy zrozumieć nie sposób? A przecież sztywne podziały gatunkowe zawodzą także w stosunku do twórczości *Jarosława Iwaszkiewicza* (u Maciąga: prozaik), *Tadeusza Nowaka* (poeta), *Tadeusza Różewicza* (poeta), *Stanisława Grochowiaka, Bohdana Drozdowskiego i Ernesta Brylla* (poeci), *Stanisława Czernika* i *Jalu Kurka* (prozaicy), *Anny Świrszczyńskiej* (dramatopisarka).

Listę uchybień przeciw zdrowemu rozsądkowi można by wydatnie, rozszerzyć, są one doskonałą ilustracją poglądu, że doktrynerskie trzymanie się pewnych przykładów, zawężenie egzemplifikacji do fragmentarycznych zjawisk, przynosi niekiedy efekty groteskowe. Nie to jednak wydaje mi się najpoważniejszym brakiem książki. Za znacznie poważniejszą sprawę uważam pewien brak odwagi Maciąga w dostrzeżeniu najnowszych zjawisk literackich początku lat sześćdziesiątych, kiedy to pojawiło się w poezji polskiej pokolenie nazwane przez *Michała Sprusińskiego* przekornie „nieobecnym" podobnie jak nie zauważył on całej fali debiutów prozatorskich przezwanych przez krytykę „literaturą małego realizmu". Ten nadmiar ostrożności sprawia, że książka nie ma jakby zakończenia, brakuje jej oddechu. Krytyk uchyla się od refleksji, w jakim kierunku będzie się rozwijać literatura współczesna i jakie powinna zagospodarować obszary, jakby na koniec zwyciężył w nim chłodny filolog.

Pomimo tych mankamentów trzeba podziwiać benedyktyński wysiłek Maciąga w ukazaniu drogi rozwojowej literatury pierwszego dwudziestolecia Polski Ludowej. Krakowski krytyk, pracujący w osamotnieniu, rzucił jakby wyzwanie swoim kolegom po piórze udowadniając, że napisanie tak ambitnie pomyślanej książki było mimo wszystko możliwe. Miejmy nadzieję, że rękawica zostanie podjęta przez innych krytyków i obciążona grzechem pierworodnym praca Maciąga będzie wkrótce wciąż dziełem pionierskim, ale nie jedynym na naszym rynku wydawniczym.

Włodzimierz Maciąg: „Literatura Polski Ludowej 1944—1964", Państwowy Instytut Wydawniczy 1974, str 551, cena zł 75.

LOS I HISTORIA

Dalszy ciąg ze str. 1

— Na ostatniej karcie książki widnieje data: 1952 rok. „Bój" właściwie jest zbeletryzowanym reportażem. W wagonie kolejowym, gdzieś pod Krotoszynem, spotkałem żołnierza, który opowiedział całą tę historię, jaka zawarta jest w „Boju". Lojalnie przyznaję się do tego na skrzydełku okładki „Boju". I tę właśnie książkę istotnie uważam za swój debiut literacki.

— Posiada Pan wyobraźnię wizualną. Zajmuje się Pan też fotografią. Wydał Pan swego czasu album fotograficzny o Łodzi. Zaczynał Pan jako dziennikarz radiowy. Ma Pan w swoim dorobku wiele słuchowisk i widowisk telewizyjnych. Czy ta różnorodność uprawianych przez Pana gatunków twórczości wpływa właśnie na to, że Pana książki są tak filmowe? Przecież „Los i łut szczęścia" też można uznać z książkę „do oglądnia".

— To wcale nie jest komplementem. Dziś przecież modniejsze jest myślenie bezobrazowe, abstrakcyjne. W literaturze króluje obecnie takie właśnie pisarstwo: intelektualne, wyabstrahowane.

Niewątpliwie pisanie dla radia telewizji i fotografowanie mają jakiś wpływ na to co piszę i jak piszę. Uprawianie różnych gatunków wynika z mojego usposobienia. Podobnie, jak i sposób pisania. Nie silę się na pastisz współczesnych gatunków. Gdybym się uparł, to chyba potrafiłbym zrobić pastisz antypowieści czy powieści np. rozkojarzonego nurtu świadomości. Ale po co? Uważam że każdy powinien mówić autentycznie swoim językiem. Moim językiem jest taki sposób obrazowania, jaki prezentuję w swoich książkach.

— W swoich książkach pozostał Pan wierny nie tylko sposobowi wyrażania swoich myśli, nie tylko tematyce i okresowi, w którym lokuje Pan akcję — wszystkie dzieją się albo w ostatnich miesiącach wojny, albo zaraz po wojnie — ale także sposobowi konstrukcji losu człowieka. Bohaterowie Pana książek mają ograniczone możliwości decydowania, a jak dokonują wyboru, to obraca się to najczęściej przeciwko nim.

— Napisałem tryptyk powieściowy z lat 1944—1945. Chronologicznie można by go tak ułożyć: „Nagrody i odznaczenia", „Los i łut szczęścia" i „Lato po wojnie".

— Chociaż książki te ukazywały się nie w takiej kolejności.

— W tych książkach los ludzki jest ukazany tak, że można by posądzać mnie o fatalistyczny determinizm. I w niektórych recenzjach z filmu Jana Łomnickiego odzywały się takie nuty. Jest to powierzchowna ocena.

Jeżeli dzieje się to, co działo się w latach wojny z naszym narodem, to przecież wolność człowieka jest wówczas ograniczona do pewnych decyzji moralnych. Otaczający świat, który staram się przedstawić realistycznie, ten świat w takich okolicznościach jest nieprzychylny człowiekowi. Pole bitwy jest na przykład nieprzychylne człowiekowi. Ale czy tylko pole bitwy? Nie łudźmy się. I jak w tych warunkach kształtuje się stosunek człowieka do człowieka i to nie tylko po obu stronach drutu kolczastego, zatem nie tylko stosunek Polaka do Niemca i vice versa, ale i stosunek Polaka do Polaka.

Wydaje mi się, że w naszej literaturze ostatnich lat idealizowane były wzajemne stosunki ludzi jednakowo dotkniętych grozą zagłady. W niektórych książkach rysowano obraz w istocie bezkonfliktowy. A przecież już Tadeusz Borowski zdemaskował stosunek Polaka do Polaka w obozie zagłady. To są sprawy zbyt skomplikowane i zbyt tragiczne, aby je można było z czystym sumieniem upiększać. Nie lubię książek propagujących wojenkę i legendę, że jest ona czymś w rodzaju pysznej zabawy. Wojna z całą jej ohydą, z wszystkimi procesami demoralizującymi, z całą jej siłą destrukcyjną godząc przede wszystkim w moralne wartości człowieka nie ma nic wspólnego z tymi legendami.

— Niedawno KTT zarzucił filmowi Jana Łomnickiego, że obraz jesieni 1944 roku jest przerysowany, że pokazuje wyjątkowe okrucieństwo.

— A jakaż była ta nasza wojna domowa? Krzysztof Toeplitz zapewne nie uświadczył jej, być może dlatego uważa, że jej nie było. Ale niestety była przecież polska wojna domowa. Zginęły w niej tysiące ludzi. I była to wojna domowa okrutna. Ernest Hemingway powiedział kiedyś, że wojny domowe są najokrutniejsze. Brał udział w takich wojnach.

Przeciwności polityczne powodowały, że jesienią 1944 roku i w Polsce ludzie tego samego narodu, często tej samej klasy, stawali twarzą w twarz, by walczyć z sobą w sposób bezlitosny i okrutny. Jak w takiej sytuacji kształtuje się los ludzki? Myślę, że ostatecznym wyborem, jaki pozostaje człowiekowi jest wolność wyboru w kategoriach moralnych. I to przede wszystkim chciałem w swoich książkach pokazać. Moi bohaterzy stoją przed koniecznością podjęcia decyzji moralnych, dokonania wyboru, od którego będzie zależał ich los. Zdarzało się to aż nazbyt często ludziom mego pokolenia.

— Nie daje się Pan posądzić o katastroficzny determinizm?

— Ukazanie postaw tragicznych, ale wiernych sobie i dążących do swoich celów ideowych jest typowe dla polskiej literatury, chociaż kwestionowanie takich postaw nie jest niczym nowym. Przypomnę, że swego czasu napisano, iż wierność i honor nie są wartościami samymi w sobie. Uważam, że wierność i honor są to wartości nieprzemijające, a dodatek „same w sobie" był tylko gimnastyką słowną.

— A Pana osobiste doświadczenia? Jaki one mają wpływ na kształt Pana twórczości? Był Pan oficerem Wojska Polskiego, zna Pan tamten czas. Czy teraz powraca Pan do tamtej tematyki, bo sugerują Pana własne przeżycia, czy też fascynuje i pociąga Pana znajomość realiów tamtej epoki?

— Znajomość czasu, o którym piszę jest dla mnie rzeczą niezbędną. Może i moje osobiste przeżycia wpłynęły na to, że tyle uwagi poświęciłem tamtym czasom.

— Konfliktom tamtych czasów.

— Chociaż kryje się w tym pewien paradoks, okupację przeżyłem w małym miasteczku, w Zbarażu, było nas tam niewielu Polaków. Kiedy dziś spotykamy się, niemal z reguły dyskutujemy o owej specyficznej atmosferze, która wytworzyła się w tamtych dniach. W tej małej grupce Polaków, stanowiącej mniejszość, a przez to bardzo solidarnej, przeżywaliśmy niezwykle trudne i dramatyczne sytuacje. Wystarczy, że powiem, iż wojska radzieckie wkroczyły do Zbaraża na trzy dni przed datą pogromu wyznaczonego przez bandy UPA.

Ale kiedy znalazłem się w Polsce i dowiedziałem się o bratobójczych walkach na Kielecczyźnie, przeżyłem prawdziwy wstrząs. Było to dla mnie trudne do zrozumienia. W latach okupacji w Zbarażu Polak do Polaka miał i musiał mieć pełne zaufanie.

— Nie nosi się Pan z zamiarem napisania powieści o tamtych właśnie czasach?

— Chciałbym, ale to sprawa niezmiernie trudna.

— Patrzy Pan na początki naszego ludowego państwa już z perspektywy czasu. Czy to Panu ułatwia konstruowanie losu ludzkiego?

— Dystans trzydziestolecia przede wszystkim zwalnia od potrzeby zastanawiania się nad tym, kto miał polityczną rację. Historia to rozstrzygnęła. I to daje nam chyba prawo do skupiania się nad indywidualnym losem człowieka, nad dramatyzmem tego losu, który wcale nie musi być podparty — że tak powiem — racją polityczną.

Jesienią 1944 roku brałem udział w przeprowadzaniu reformy rolnej. Było to w miejscowości, która nazywała się Kurołapy. Nie, przepraszam, ona nazywała się Rakołupy, to w „Nagrodach i odznaczeniach" nazywa się Kurołapy. W 1944 roku, w październiku zmorą tamtych okolic była banda, która składała się w większości z niepiśmiennych chłopów. Interesujący jest rodowód tej bandy. Powstała ona w ostatnim okresie okupacji jako straż folwarczna w jednym z wielkich latyfundiów magnackich. Właściciel dzięki sobie tylko znanym koneksjom uzyskał zgodę Niemców na stworzenie 200-osobowej, uzbrojonej grupy, ubranej w polskie mundury, rogatywki, tyle tylko, że na guzikach zamiast orłów mieli hrabiowskie korony. Niemcy okazali się dalekowzrocznymi politykami. Pozwalając utworzyć taką — zresztą mikroskopijną — zbrojną siłę, a licząc się już z nieuchronnością odejścia z tych terenów, zdając sobie sprawę, kto tu przyjdzie po nich, musieli dobrze skalkulować konsekwencje swojej decyzji: dwustu fornali stanęło — może nawet nie wiedząc o tym — po reakcyjnej stronie brygady.

Jak tu rozstrzygać problemy subiektywnej winy? Historia wlawirowała tych ludzi w sytuację bez wyjścia, w sytuację tragiczną. Taka była prawda. Osobiście żal mi tych ludzi.

Albo inny, równie dramatyczny problem. Niektórzy mają mi za złe, że pokazałem oddział NSZ wyposażany przez Niemców.

— W „Nagrodach i odznaczeniach"?

— Tak. Ale taka była przecież prawda. Ludzie, młodzi chłopcy, którzy szli do tych oddziałów, czynili to najczęściej w dobrej wierze, szli bić się z Niemcami. A kończyło się na tym, że Niemcy dawali im broń, aby bili się z Polakami. I znów historia wlawirowała tych ludzi w sytuacje, niekiedy bez wyjścia, zmuszając do tragicznych wyborów moralnych.

— Czy po wspomnianym tryptyku powieściowym ma Pan nadal zamiar zajmować się tą tematyką?

— Uważam, że powiedziałem co do mnie należało o tym czasie. Chciałbym pisać teraz o innym okresie.

— Współczesność? I stąd nagroda za „Wypadek".

— Chciałbym zajmować się współczesnością, ale to nie takie proste.

— Dlaczego?

— Powiem panu otwarcie. Nasz ruch wydawniczy nie lubi powieści współczesnych o autentycznych konfliktach. Są zbyt kłopotliwe i nasza literatura musi wyjść z tego stanu lękowego, musi przezwyciężyć tę trudność, abyśmy mogli mieć coraz więcej i lepszych powieści współczesnych.

No i samo pojęcie współczesności. To na pewno rok 1974. Ale przecież i okres pookupacyjny, pierwsze lata po wojnie, to też w jakimś sensie nasza współczesność. Czytuję książki moich ulubionych pisarzy, którzy piszą w połowie XIX wieku i są one dla mnie bardzo współczesne. Wydaje mi się, że w literaturze pojęcie współczesności jest czymś bardzo umownym. Lokata akcji w jakimś odcinku czasu jest tylko pretekstem.

— To oczywiste.

— Bardzo obecnie fascynują mnie realia naszej współczesności. Uważnie obserwuję zmiany, zachodzące w obyczajowości. Konflikty dnia dzisiejszego. I bardzo chciałbym napisać powieść prawdziwie współczesną. Może mi się to uda, jeśli losy pozwolą.

— A więc jednak jest Pan trochę fatalistą.

— Jeśli nawet, to optymistycznym. Tuż przed wojną, w 1939 roku, moja matka ofiarowała mi w prezencie maturalnym los na loterię. Nigdy przedtem nie grała. I proszę sobie wyobrazić, że na ten los padło 5 tysięcy złotych. Jak tu nie być optymistą?

— Będę uparty i wrócę do pytania o „Wypadek".

— Cóż, konkurs rozstrzygnięty, mogę panu wszystko wyjaśnić. Fabuła: minister rozbija samochód gdzieś — powiedzmy pod Kutnem i jest w takim stanie, że nie można go przewieźć do dobrze wyposażonego szpitala. Lokują go więc w malutkim, prowincjonalnym zaniedbanym szpitaliku. No i zaczynają się rozgrywać różnorakie dramaty, od arcydramatów biurokratyczno-administracyjnych począwszy a na moralnych skończywszy.

— Minister jest — jak się domyślam — tylko pretekstem?

— Minister jest istotnie tylko pretekstem. Leży w agonii. Bohaterami powieści są inni ludzie. Mający dokonać różnych wyborów, mający też różne sprawy do rozliczenia, przeżywający różne konflikty.

— Kiedy ukaże się książka?

— Ba! Mogę tylko powiedzieć, że „Los i łut szczęścia" ukazał się w cztery lata po wręczeniu głównej nagrody, jaką zyskał w konkursie.

— Miejmy nadzieję, że tym razem nie trzeba będzie tak długo czekać. Czego poza tym możemy się od Pana spodziewać?

— Chciałbym wydać te książki, które ostatnio napisałem. Jest to, jak pan widzi, odpowiedź dyplomatyczna

— Trudno, poczekamy. Jeszcze raz wyrażę nadzieję, że nie będziemy zbyt długo czekali.

Rozmawiał:
LUCJUSZ WŁODKOWSKI

WACŁAW BILIŃSKI urodził się w 1921 roku we Lwowie. W latach 1944—1946 służył w Ludowym Wojsku Polskim. Później pracował w przemyśle, a następnie w Polskim Radio.

Zadebiutował w 1951 roku jako autor audycji radiowych.

Jest autorem słuchowisk, widowisk telewizyjnych. Wydał książki: „Szósta bateria", „Bój", „Lato po wojnie", „Los i łut szczęścia", „Nagrody i odznaczenia".

W 1968 roku otrzymał nagrodę III stopnia Ministra Kultury i Sztuki za powieść „Nagrody i odznaczenia".

Był naczelnym redaktorem „Odgłosów".

STUDENCKIE BIURO MENAŻERÓW

Dalszy ciąg ze str. 6

jako zjawisko społeczne bronili się przed zbytnim sformalizowaniem i włączeniem kół w tryby administracyjno-biurowej machiny. Na Kongresie przedstawiono bowiem akty prawne dawno oczekiwane przez środowisko. Opracowanie tych dokumentów, jest również poważnym osiągnięciem Kongresu.

„Zasady działalności i struktura studenckiego ruchu naukowego", „Projekt zarządzenia ministra w sprawie studenckiego ruchu naukowego" oraz **„Wytyczne w sprawie udziału studentów w pracach badawczych, rozwojowych i wdrożeniowych w szkołach wyższych"** traktują studencki ruch naukowy jako integralną całość nauczania i wychowania w szkole wyższej. Określają prawne i finansowe zasady działania kół i oddają nadzór merytoryczny nad działalnością ruchu naukowego w ręce rektora uczelni. „Wytyczne" wyraźnie zobowiązują wyższe uczelnie do włączenia studentów do prowadzenia prac badawczych, rozwojowych i wdrożeniowych. Badania mogą być zaliczane jako prace przejściowe, seminaryjne lub magisterskie. W badaniach (bardzo ważne) może brać udział całe koło. Możliwe są bardzo elastyczne zespoły złożone z członków koła, pracowników naukowych i przedstawicieli przemysłu. Praca studentów będzie płatna według ustalonych stawek.

I właśnie w tych potrzebnych zresztą bardzo „Wytycznych" łodzianie widzieli niebezpieczeństwo. (wydane przed rokiem podobne dokumenty pozostały tylko dokumentami). Istnieją poważne obawy, że w niektórych instytucjach studenci mogą być traktowani wyłącznie jako personel pomocniczy. Administracyjny obowiązek, konieczność wykazania się przez instytut sprawozdaniem itp. może doprowadzić do formalnego traktowania koła. Największy niepokój budzi jednak fakt czy zainteresowania i plany naukowe koła będą mogły być rozwijane, jeżeli znajdą się poza tematem prac prowadzonych przez instytut. Wprowadzenie w życie i właściwa interpretacja wytycznych wymaga przełamania oporów natury psychicznej wielu jeszcze pracowników naukowych, a jak każdy tego typu proces będzie długotrwały i trudny.

Do wspomnianych już propozycji łodzian. **„Mistrz zaprasza ucznia do pracowni"** i pracy kół naukowych z uczniami szkół średnich, dodam jeszcze ostatni pomysł rzucony na zakończenie Kongresu. Łódź zaproponowała powołanie w mieście **Studenckiego Przedsiębiorstwa Menażerów**, które zajęło by się wyszukiwaniem, informowaniem i przekazywaniem do gospodarki rozwiązań i badań studenckich kół naukowych oraz prac magisterskich. Jest to myśl z rozmachem, i znajomością zasad wykorzystywania zdobyczy współczesnej nauki. Myśl z ogromnymi perspektywami. Myśl mieszcząca się w koncepcji ruchu studenckiego głoszonego przez Łódź — jako ruchu społecznego, elastycznego w którym będzie miejsce na śmiałe pomysły i autentyczność. Ryzyko takiej właśnie formuły jest niebagatelne, o czym już przed laty przestrzegał mistrz Konstanty Ildefons pisząc iż **„żywy student to jest kłopot dziki, a my Polacy, my lubim pomniki"**. Dziś dodałby pewnie, że student inteligentny i zdolny z koła naukowego to dopiero prawdziwe utrapienie. No bo czegóż taki nie wymyśli.

MAŁGORZATA GOLICKA

OLIMPIJCZYCY

LIDIA CHMIELNICKA-ŻMUDA

Lidia Chmielnicka-Żmuda urodziła się w 1939 r. w Lublińcu. W piłkę siatkową w czasie studiów na AWF grała w warszawskim AZS. Po ich ukończeniu przeniosła się na stałe do Łodzi i zasiliła zespół łódzkiego Startu.

Drużyna Startu jest najlepszym zespołem w Polsce, posiada od lat tytuł mistrza.

L. Chmielnicka-Żmuda zakwalifikowała się na wyjazd na igrzyska olimpijskie w 1968 r (Meksyk). Polska zdobyła wówczas brązowy medal. Złoty — ZSRR srebrny — Japonia. Siatkarka Startu wyróżniła się w zespole nie tylko ambicją, ale również doskonałą techniką i bardzo silnymi ścięciami piłek.

Drużyna nasza grała w Meksyku w następującym składzie: A. Aszkiełowicz, L. Chmielnicka-Żmuda, K. Krupa, J. Książek, J. Ledwig, B. Niemczyk, K. Ostromecka E. Porzec, Z. Szczęśniewska i W. Wiech.

BARBARA HERMEL-NIEMCZYK

Łodzianka, urodzona w 1943 r. Należy do sekcji piłki siatkowej „Startu".

Brała udział w igrzyskach olimpijskich w Meksyku w 1968 r. Polska zdobyła wówczas trzecie miejsce i brązowy medal Drużyna nasza wygrała z Korea Płd. 3:2, USA 3:0, Meksykiem 3:2, CSRS 3:0, Peru 3:1, ale przegrała 0:3 z niepokonaną drużyną ZSRR i Japonią 0:3.

Barbara Niemczyk imponowała błyskawicznym refleksem. Była doskonałą siatkarką w ofensywie i defensywie.

ZBIGNIEW KORZENIOWSKI

POLAK-WĘGIER, DWA BRATANKI

Mieszkającym na Węgrzech Polakom i Węgrom polskiego pochodzenia miasto nasze nie jest obce. Łódź znana jest im nie tylko z geografii gospodarczej Polski.

Pierwszą kolonię polonijną dla dzieci z Węgier zorganizowano właśnie w Łodzi, w ośrodku czasów dziecięcych w Rudźie. W 25-osobowej grupie dzieci z Węgier tylko Ania Pabiniak (ojciec — p. Henryk pochodzi z Głowna) mówiła po polsku. Po 6 tygodniach pobytu z łódzkimi dziećmi, wielu małych Węgrów nie potrzebowało już tłumacza. Kiedy w czasie ostatnich wakacji spotkałem się z nimi ponownie w Kluczborku, na drugiej kolonii polonijnej dla dzieci węgierskich, mówiących językiem ojców i dziadków było już więcej.

Przed kilku dniami, w czasie pobytu w Budapeszcie odwiedziłem klub Polskiego Stowarzyszenia Kulturalnego im. Bema na Węgrzech. Trafiłem na zajęcia kursu języka polskiego. Spotkałem tu wielu uczestników kolonii polonijnych. Jak powiedział mi pan Stanisław Wiśniewski (pochodzi z Bydgoszczy), koloniści stanowią trzon kursu i są najpopularniejszymi jego słuchaczami.

Łódź bliska jest również Polonii węgierskiej jeszcze z innego powodu. Od 2 lat notuje się bowiem współpracę Stowarzyszenia z załogą Łódzkich Zakładów Radiowych „Fonica". Zakłady przekazały do klubu polskiego w Budapeszcie nowoczesny gramofon ze zmieniaczem płyt i kolumnami głośnikowymi. W Radzie Zakładowej „Foniki" myśli się nawet o wymianie dzieci na koloniach i dorosłych wczasowczów. Przypuszczam, że sprawy te zostaną bliżej sprecyzowane w czasie wizyty delegacji łódzkiej „Foniki" w Budapeszcie na uroczystościach 15-lecia Polskiego Stowarzyszenia Kulturalnego na Węgrzech.

Na dobrą sprawę powinno się jednak obchodzić również 100-lecie Polonii węgierskiej. Przed stu laty bowiem w dzisiejszej dzielnicy Budapesztu — Köbánya (Kebania), gdzie w czasie dynamicznego rozwoju miasta mieszkało najwięcej robotników polskich, powstało Stowarzyszenie Polaków. Wydawano nawet gazetę polską „Tygodnik Polski na Węgierskiej Ziemi". Jego redaktorem był Ferdynand Zagórski. W Kebanii była polska szkoła i kościół.

Historia tego kościoła jest ciekawa. Mieszkający w Kebanii działacze polonijni w 1912 roku wydali książeczkę Kazimierza Lubeckiego o przyjaźni polsko-węgierskiej. Dochód z jej sprzedaży miał być przeznaczony na budowę kościoła polskiego. Z chwilą wybuchu pierwszej wojny światowej pieniądze uzyskane ze sprzedaży książki przekazano na pożyczkę wojenną. Po wojnie ksiądz Wincenty Danek skontaktował się z Polonią amerykańską i przy jej pomocy w 1930 roku wzniesiono w Budapeszcie kościół polski.

Dziś w Kubanii mieszkają tylko nieliczni potomkowie polskich robotników — członków Stowarzyszenia Polskiego, działającego przed 100 laty. Większość po 45 roku wróciła do Ojczyzny. Inni przeprowadzili się do nowych, nowoczesnych dzielnic stolicy Węgier. Dziś w kebańskim gimnazjum spotyka się jeszcze polskie nazwiska, ale młodzież nie zna z domu języka polskiego. Kilkunastoosobowa grupa młodych Węgrów uczy się go w ramach lektoratu. Dlaczego się uczą? Słyszeli o Polakach, o Polsce, chcą do nas przyjechać i poznać nasz kraj. Chcą korespondować.

Uczniowie gimnazjum Władysława I w Kebanii, starej robotniczej dzielnicy Budapesztu z polskimi tradycjami, chcą korespondować z jedną z łódzkich szkół średnich. Która podejmie tę współpracę? Można pisać po polsku, bo opiekunka koła, p. Elżbieta Sztolarik, mimo że jest rodowitą Węgierką, świetnie mówi po polsku. Ukończyła bowiem filologię polską na uniwersytecie w Budapeszcie.

* * *

Przed wojną drugim ośrodkiem Polonii węgierskiej była Tatabanja — niewielkie miasteczko, położone w południowo-zachodniej części Węgier na trasie z Budapesztu do Bratysławy. W Tatabanji kolonia polska powstała przed 50 laty w czasie dynamicznego rozwoju przemysłu węglowego. W okresie międzywojennym w Tatabanji istniała nawet szkoła polska.

Do 1945 roku większość polskich mieszkańców Tatabanji wróciła do kraju, nie musząc szukać pracy poza jego granicami. Ci, którzy nadal tam mieszkają, kultywują polskie tradycje mimo, że ich dzieci nie mówią po polsku. Niestety Polskie Stowarzyszenie Kulturalne nie utrzymuje kontaktów z mieszkańcami w Tatabanji i okolicy, Węgrami polskiego pochodzenia A szkoda.

Do wielu z nich dotarłem jednak osobiście, szukając na własną rękę węgierskich polonusów. W Tokodaltaro, koło Estergom, odnalazłem np. górniczą rodzinę Strzałkowskich — Bakosz. Anna Strzałkowska-Bakosz jest już na emeryturze. Mąż nie żyje. Córka, Gertruda Bakosz, w miejscowej szkole podstawowej i gimnazjum uczy przedmiotów związanych z wychowaniem plastycznym.

Jeden z jej byłych uczniów, Laszlo Mark, przyjedzie do Łodzi. Tutaj w Studium Języka Polskiego dla Obcokrajowców przygotowywać się będzie do studiów na wydziale rybołówstwa śródlądowego Akademii Rolniczej w Olsztynie. Jak mi powiedział, p. Bakosz dużo opowiadała mu o Polsce i jej uczelniach wyższych, a że interesuje go rybołówstwo — zgłosił się na studia w Polsce. Do zobaczenia w Łodzi!

Pani Gertruda Bakosz opowiadała mi również o mieszkających tu do niedawna Polakach. M.in. o pani Klarze Tolnai, również nauczycielce, która przed dwoma laty wróciła do Polski. Podobno mieszka w Łodzi i uczy w jednej ze szkół. W której — nie wiem. Jeśli p. Tolnai czyta tę korespondencję, bardzo proszę o skontaktowanie się z redakcją „Odgłosów".

Jest jeszcze na Węgrzech jeden ciekawy ośrodek polonijny: Isztwanmajor koło Miszkolca — „polska wieś", jak ją tu nazywają. Polska gwara tej wsi pod Miszkolcem będzie tematem pracy habilitacyjnej dr Marii Hemmer z Uniwersytetu w Szegedzie. Pragnieniem p. Hemmer jest przygotowanie tej pracy pod kierunkiem językoznawców z Uniwersytetu Łódzkiego, współpracującego z uczelnią w Szegedzie.

* * *

Do tej pory pisałem o dwóch najstarszych generacjach Polonii węgierskiej. Najwięcej jest tu jednak byłych żołnierzy września 1939 r. Tu znaleźli przyjacielską dłoń, w wielu domach serdeczną opiekę i pomoc w trudnych latach okupacji hitlerowskiej, a nawet serce. W dziesiątkach przypadków opieka i przyjaźń przekształcały się w miłość. Stąd na Węgrzech tak wiele węgiersko-polskich małżeństw wśród ludzi średniego pokolenia.

Przedstawicielem tej wojennej generacji jest m.in. prezes Polskiego Stowarzyszenia Kulturalnego, inż. Henryk Pabiniak — dawny mieszkaniec Głowna. Jego los jest typowy dla losów wielu żołnierzy Września. A więc pomoc i opieka węgierskiej rodziny (a właściwie polsko-węgierskiej, bo bodajże ojciec p. Ireny również był z pochodzenia Polakiem), a potem miłość i małżeństwo. Cała czteroosobowa rodzina państwa Pabiniaków aktywnie działa w Stowarzyszeniu. Nawet 13-letnia Ania jest prawą ręką nauczyciela języka polskiego na kursach Stowarzyszenia. Starsza córka, Irena, ukończyła politechnikę w Budapeszcie, początkowo pracowała w Instytucie Cieplnym, a od roku działa w budapeszteńskim przedstawicielstwie Polskich Zakładów Lotniczych. Od wielu lat jest aktywnym, świetnym tłumaczem różnego rodzaju delegacji i wycieczek. Każdy urlop spędza w Polsce. Zapowiedziała, że za mąż wyjdzie tylko za Polaka.

W ogóle Węgrzy (i Węgierki) upodobali sobie Polki (Polaków). Stąd wiele mieszanych małżeństw wśród młodych. I to jest właśnie ta najmłodsza, wcale niemała, generacja Polonii węgierskiej. Młodzi Polacy (i Polki), których na Węgry przywiodła miłość, pracują tu w drugiej ojczyźnie solidnie. Są cenionymi fachowcami. Domy prowadzą różnie, w zależności od kulinarnych upodobań, wszak my, Polacy, lubimy węgierską kuchnię, Węgrzy z kolei chwalą sobie nasze potrawy. Wszyscy są zgodni w wychowaniu dzieci — po polsku.

Pani Aldona Hejj jest pracownikiem naukowym Węgierskiego Instytutu Ciepłownictwa. Zajmuje się ogrzewaniem miast i osiedli. Jej zespół badawczy bardzo chce współpracować z jednym z zespołów, mieszczącego się w Łodzi, Instytutu Ciepłownictwa.

Pani Anna Pełneki jest muzykologiem, również pracownikiem naukowym. Aktualnie pisze pracę doktorską nt. muzycznych kontaktów Polski i Węgier, bada tabulatury (poprzedzający nuty system zapisywania muzyki).

Z przedstawicielami tej najmłodszej grupy Polonii węgierskiej spotkałem się również w Łodzi, w czasie świąt Bożego Narodzenia. Pani Anna Nowotny jest łodzianką, mąż Tibor — Węgrem. Każdy urlop i święta spędzają w Polsce. 8-letni syn Witek, urodzony w czasie urlopu w Łodzi, mówi świetnie po polsku, interesuje się krajem matki, co przejawia się w zbieraniu znaczków polskich, pocztówek, proporczyków i plakietek. Brat p. Anny — Andrzej studiuje w Budapeszcie ogrodnictwo.

Częste wzajemne wizyty, wycieczki turystyczne rozszerzają nasze kontakty i umacniają przyjaźnie. Często na Węgrzech słyszy się stare przysłowie: „Polak — Węgier, dwa bratanki". I nic dziwnego, że rośnie ta najmłodsza generacja Polonii węgierskiej.

Fot. Archiwum

TAJEMNICA ŚMIERCI MUSSOLINIEGO

Dokończenie ze str. 4

działo, pozostawił notatkę (opublikowaną po latach w formie literackiej), w której stwierdził, iż „strzelano do dwóch trupów martwych już od dłuższego czasu". Inny bezpośredni świadek, murarz Angelo de Angelis, któremu po egzekucji polecono pomóc przy przeniesieniu trupów do „żółtej" ciężarówki, którą następnie zostały przetransportowane do Mediolanu, wyznał naiwnie, iż były „zimne, zimniutkie, praktycznie sztywne". (W tym miejscu również wyłania się pewna rozbieżność z wersją prezentowaną przez Monellego, który podaje, że trupy pozostawiono po egzekucji przez dwie godziny na deszczu, po czym zostały podwiezione samochodem osobowym z Azzano, do głównej drogi, gdzie przeładowano je dopiero do wspomnianej ciężarówki, która odwiozła je następnie do Dongo. Podobnie sam opis egzekucji przedstawiony jest nieco inaczej niż egzekucja „oficjalna" podana przez Franco Bandiniego). Poza tym co najmniej kilkoro świadków potwierdziło, że droga w kierunku jeziora Como była zamknięta zaporami na wiele minut przed tym, zanim usłyszano serię z broni maszynowej.

W tym miejscu można by właściwie uznać tajemnicę śmierci Musoliniego za wyjaśnioną, jako że nie ma praktycznie żadnej możliwości zaprezentowania wszystkich detali potwierdzających tę zaskakującą prawdę, gdyby nie pewna sprawa wymagająca jeszcze bliższego naświetlenia. Dotyczy ona osoby, której nazwisko, a ściślej pseudonim przewijał się wciąż na kolumnach tej relacji. Ta osoba — to pułkownik „Valerio", czyli Walter Audisio — postać, jak się okaże, niezwykle kontrowersyjna. Kim był naprawdę ten aleksandryjski księgowy, wysłany rankiem 28 kwietnia przez generała Cadornę nad jezioro Como? Jego późniejsze zeznania to jeden splot sprzeczności i obraz nieprawdopodobnych sytuacji. Jego opowiadania są tak dalekie od rzeczywistości, że zmuszają do poważnych wątpliwości nie tylko co do szczegółów, ale także co do wiarygodności całości. W relacjach, jakie napisał w 1957 roku o przeprowadzonej przez siebie akcji, zaprzecza samemu sobie w sposób zaskakujący. Opisuje na przykład dom Giacoma De Maria jako mały domek górski z zewnętrznymi schodami z drewna, podczas gdy był to dość duży budynek ze schodami umieszczonymi w jego wnętrzu i wykonanymi z kamienia. Poza tym miesza osoby oraz chełpi się na przykład, że mówi językiem hiszpańskim, a później stwierdza, iż go w ogóle nie zna. Toteż nie sposób oprzeć się zwłaszcza dzisiaj wrażeniu, że pod jednym i tym samym pseudonimem kryją się dwie zupełnie różne osoby. Jest to oczywiście przypuszczenie, lecz fakt pozostaje faktem, iż gdy swego czasu pojawiły się we wszystkich dziennikach włoskich jego obecne fotografie, to wprawiły one w wielkie osłupienie prawie wszystkich tych, którzy znali i widzieli pułkownika „Valerio" w akcji. Począwszy od Belliniego („Pedro") do „Billa", jego wicekomendanta, od Bertinelli do Oscara Sforni z CLN w Como, wszyscy zgodnie stwierdzili, że go nie rozpoznali.

A zatem czy „Valerio" był rzeczywiście Walterem Audisio? Wydaje się, że staranna analiza, choć poszlakowa, wykazałaby, że nie. Poszlakowa, bowiem opierająca się na fakcie, iż wszystkie fotografie i fragmenty filmów nakręconych w Dongo, zostały natychmiast zarekwirowane przez pułkownika „Guido". Wprawdzie trzy fotogramy pojawiły się w pewnych odstępach czasu w centralnym organie prasowym Włoskiej Partii Komunistycznej, dzienniku „l'Unita", lecz nie jest niestety możliwe rozpoznanie na nich kogokolwiek. Istnieją również dwa inne powody, aby wątpić w autentyczność „Valeria".

Pierwszy z nich, to dokumenty, jakie otrzymał od generała Cadorny przed wyjazdem do Dongo. Jednym z nich był dowód osobisty o numerze 279045 wystawiony na nazwisko Magnoli Giovanbattista di Cesare przez magistrat Mediolanu. Czy Magnoli istniał rzeczywiście? Czy dowód nie był fałszywy? Początkowo sądzono, że tak, lecz po opublikowaniu całej historii w prasie, do jednej z redakcji zgłosił się człowiek o tym nazwisku. Okazało się, że w 1943 roku był on kierownikiem stołówki „Borletti". Opisał on przy tym pewne wydarzenie, jakie miało miejsce w październiku tegoż roku, a które rzuciło pewne światło na sprawę dowodu osobistego, wystawionego na jego nazwisko. Otóż dnia 24 października Magnoli wsiadł na dworcu w Mediolanie do małej, odkrytej ciężarówki (były one wówczas używane jako taksówki). Oprócz niego znajdowało się w niej osiem osób. Podczas przejazdu przez Park Miejski samochód został zaatakowany przez grupkę złożoną z trzech ludzi, którzy z pomocą kierowcy zabrali pasażerom wszystkie dokumenty i pieniądze. Ludzie ci byli ubrani w mundury Wehrmachtu i „Muti", nie byli jednak ani Niemcami ani faszystami. Epizod ten można prawdopodobnie łączyć z akcją którejś z mediolańskich grup GAP lub organizacji partyzanckiej „Oltrepo Pavese" utworzonej z oddziałów GAP rozbitych zimą 1943/44. (Notabene z niej właśnie utworzono pluton egzekucyjny, który w Dongo rozstrzelał hierarchów faszystowskich Republiki Socjalnej. Tajemnica o personaliach tych ludzi miała zostać utrzymana przez pięćdziesiąt lat). W ten właśnie chyba sposób „Valerio" wszedł w posiadanie dowodu osobistego Magnoli. Dokument ten wydaje się odciągać uwagę od postaci Waltera Audisio i kieruje ją na członków GAP, którzy działali na przemian w Oltrepo Pavese i w Mediolanie, a zwłaszcza na „Borletti". Ciekawe, że gdy w 1959 roku „Valerio" udzielił wywiadu dziennikarzowi Silvio Bertolli — odmówił wspomnień o tych dniach. Powiedział wówczas tylko tyle: „Jeżeli przyszłaby mi na to ochota, to zrobiłbym pewnego dnia „bombę dziennikarską", wystarczyłoby bowiem, abym napisał pięć rozdziałów, jak to zresztą zamierzam, o historii, której jestem protagonistą, a osiągnęłoby to olbrzymi nakład".

Drugi powód reprezentowany jest przez ciekawy dokument, o którym przed laty wspominał człowiek nazwiskiem Marozin, o pseudonimie „Vero". Przedstawił on wówczas pewne pismo, opatrzone nagłówkiem CVL i zawierające podpis „Valeria". Pismo to było potwierdzeniem odbioru jakichś kluczy, które pułkownik „Valerio" dał mu niegdyś na przechowanie. Z dokumentu wynikało, że pułkownik w poniedziałek, 30 kwietnia, 1945 roku, o godz. 8 rano odebrał od niego te klucze. Wydaje się to bez wątpienia zaskakujące, jeśli nawet nie przekonywające, że pułkownik „Valerio", który zapewne od trzech nocy nie zmrużył oka — to jest od momentu rozstrzelania Mussoliniego i Claretty, od egzekucji hierarchów w Dongo, od owej awanturniczej podróży powrotnej, podczas której został aresztowany i omal nie postawiony pod murem, a który później, w niedzielę, około 16 musiał dyktować długie raporty o tym, co zaszło — znalazł dostatecznie dużo energii, aby rankiem następnego dnia wstać specjalnie o 7 rano tylko w tym celu, aby odebrać pęk kluczy, jak gdyby od jakiegoś skarbca. Według innych relacji miał on mieć wówczas wysoką gorączkę. Wszystko jest możliwe, lecz wątpliwości pozostają.

Podobnie jak i te, które odnoszą się do owej tajemniczej postaci „X". Czy ma ona jakiś związek z osobą „Valeria"? Nie wiadomo. Wiadomo jedynie tyle, że był to wypróbowany partyzant i to prawdopodobnie wysokiej rangi.

Na zakończenie jeszcze jeden ciekawy, acz nie wyjaśniony bliżej szczegół, a mianowicie obecność Luigi Longo (ówczesnego wicekomendanta CVL) na placu w Dongo, kilkadziesiąt minut przed godziną 12, dnia 28 kwietnia. Pozostał tam tylko przez kilka chwil, lecz widziało go szereg osób, które niejednokrotnie zwracały uwagę w swoich zeznaniach na ten fakt. A może owym „X" był sam Luigi Longo? To pytanie, chyba również pozostanie na razie bez odpowiedzi.

ANDRZEJ BLAJER

ŚWIAT • POLITYKA • WYDARZENIA • KOMENTARZE

AGENCJA RADIOWA (RIVADAVIA) – Buenos Aires

O znaczeniu podróży argentyńskiej delegacji rządowej do Związku Radzieckiego świadczy fakt, że po raz pierwszy wysocy urzędnicy argentyńscy zostali przyjęci przez najwybitniejszych przywódców ZSRR, po raz pierwszy delegacja argentyńskich przedsiębiorców rozpoczęła w Moskwie rozmowy na wysokim szczeblu i po raz pierwszy generalny sekretarz Konfederacji Pracujących Argentyny nawiązał bezpośredni kontakt z przywódcami związków zawodowych ZSRR. Wyniki tej wizyty otwierają nowe perspektywy przed handlem i ekonomiką Argentyny.

„NEW YORK TIMES" – Nowy Jork.

Biskupi kościoła katolickiego w Chile złożyli juncie chilijskiej oświadczenie, w którym wyliczają przyczyny wzbudzające szczególny niepokój działaczy katolickich: „Atmosferę niepewności i strachu, wzrost bezrobocia i zwolnienia z pracy, będące konsekwencją samowoli władz, przymusowe zmiany w systemie nauczania w szkołach, brak gwarancji prawnej bezpieczeństwa osobistego, bezpodstawne aresztowania, długotrwałe przetrzymywanie w więzieniach bez sądu, stosowanie tortur, brak możliwości obrony prawnej przed sądem". Spośród wszystkich oskarżeń pod adresem przywódców junty, które do tej pory padły ze strony chilijskiego kościoła katolickiego, to ostatnie jest najbardziej poważne.

„AGENCE ECONOMIQUE ET FINANCIERE" – Paryż

Opublikowane w tych dniach dane o dochodach wielkich amerykańskich kompanii naftowych za pierwszy kwartał 1974 roku wywierają tym bardziej piorunujące wrażenie, że zyski te zgarnęły kompanie w szczytowym okresie trudności, wywołanych embargo i podwyższeniem cen na naftę przez kraje bliskowschodnie. Dochody „Exsson" wzrosły, w porównaniu z tym samym okresem roku ubiegłego, o 39 procent, „Texaco" – o 125 proc., „Standard Oil" – o 81 proc., „Gulf Oil" – o 76 proc.

„FRANKFURTER ALLGEMEINE" – Frankfurt nad Menem

Decyzja rządu włoskiego o ograniczeniu importu wywołała wielkie zamieszanie w EWG. Ministrowie gospodarki rolnej krajów Wspólnego Rynku, obradujący w Luksemburgu, rozjechali się do domów w minorowych nastrojach. Istnieje groźba, że rynek włoski będzie przez pewien czas całkowicie zamknięty dla eksporterów produkcji rolnej z krajów Wspólnego Rynku. Jeśli tak będzie istotnie, to w szczególnie ciężkiej sytuacji znajdzie się zachodnioniemiecki kraj federalny – Bawaria, która co roku eksportuje do Włoch produkty rolne na sumę około 2 miliardów marek. Komisja EWG jest zdumiona przede wszystkim tym, że przed decyzją wprowadzenia ograniczeń eksportowych Rzym nie przeprowadził konsultacji ani z członkami komisji, ani z rządami krajów należących do Wspólnoty. Kroki podjęte przez Włochy świadczą, iż wzajemne stosunki w łonie Wspólnoty układają się coraz gorzej. Zdarzyło się to, czego obawiano się już od dawna i przed czym przestrzegano, zresztą bezskutecznie w przeciągu wielu miesięcy. Teraz, po raz pierwszy, postawiono pod znakiem zapytania to, co miało być bezsporne i gwarantowane: swobodny, wolny od przeszkód obrót towarowy.

„TAI-PAT" – Bangkok

Stany Zjednoczone przerzuciły do bazy w Syjamie 26 bombowców B-52, by użyć je do wojny przeciwko patriotycznym siłom Kambodży. 5 maja samoloty te wylądowały w bazie Utapao. Wojskowy przedstawiciel USA wyjaśnił ich przylot koniecznością „ucieczki przed tajfunem". Jednakże władze syjamskie poinformowały, iż tajfun szalał 300 mil od amerykańskiej bazy wojskowej na wyspie Guam, skąd przyleciały B-52, i że bombowce mogły lądować na lotniskach filipińskich, a nie przelecieć aż 3.000 mil dzielących Guam od Syjamu. Przylot samolotów amerykańskich wywołał tak gwałtowne niezadowolenie Syjamczyków, że amerykańskie dowództwo wojskowe było zmuszone wyrzec się swoich planów i odwołać samoloty na wyspę Guam.

„FRANCE PRESSE" – Paryż

Na masowym zebraniu, które odbyło się w jedynym uniwersytecie Mozambiku, dwa tysiące studentów i pracowników naukowych wezwało Komitet Ocalenia Narodowego w Lizbonie do zapobieżenia próbom miejscowych ugrupowań prawicowych ogłoszenia, w trybie jednostronnym, niepodległości Mozambiku, „pomyślanej" na wzór Rodezji. Uczestnicy zebrania uchwalili rezolucję wyrażającą poparcie dla Komitetu Ocalenia Narodowego oraz wezwali do postawienia przed sądem ludzi, odpowiedzialnych za wymordowanie przez portugalski korpus kolonialny mieszkańców afrykańskiej wioski Wirijamu. Było to pierwsze masowe zebranie zwołane w Mozambiku przez inteligencję po dojściu do władzy w Portugalii Komitetu Ocalenia Narodowego. W specjalnym wydaniu, miejscowy tygodnik „Tempu" dał do zrozumienia, że urzędujący generał-gubernator Mozambiku, być może, zastanawia się nad próbą kontrprzewrotu „przy poparciu Republiki Południowo-Afrykańskiej".

MIASTO GIGANT I JEGO PROBLEMY

W trzech największych miastach Japonii mieszka 33 miliony ludzi. Inaczej mówiąc – 32 proc. ludności kraju zajmuje zaledwie 1 proc. jego terytorium. Szczególną pozycję pod tym względem ma stolica Japonii – Tokio, gdzie 11 i pół miliona mieszkańców, czyli 11 proc. całej ludności, tłoczy się na 0,6 proc. powierzchni kraju.

Badania w zakresie stopnia zanieczyszczenia powietrza w strefach przylegających do Zalewu Tokijskiego przeprowadzone w 1972 roku, wykazały, iż dymy wydalane w atmosferę przez zakłady przemysłowe zawierały około 605 tysięcy ton siarki! Z każdym dniem woda i powietrze we wszystkich rejonach miejskich są coraz bardziej zanieczyszczane. Jeśli w najbliższym czasie nie podejmie się stanowczych decyzji, to te niezbędne elementy otaczającego środowiska staną się poważnym zagrożeniem dla zdrowia i życia ludności.

Życie codziennie w miastach japońskich z dnia na dzień staje się trudniejsze; np. wskutek zatorów samochodowych szybkość transportu w wielkich miastach stale się zmniejsza. Na podstawie badań, przeprowadzonych na mostach i szosach w jednym z rejonów Tokio jesienią 1972 roku stwierdzono, iż średnia szybkość samochodów na autostradach przecinających stolicę nie przekraczała 20 km na godzinę, a w okresie szczytu spadała do 9 km na godzinę, ale już rok później zmniejszyła się do 7,7 km na godzinę. Na krótkich dystansach łatwiej i szybciej poruszać się pieszo. Ale niebezpiecznie, ponieważ koncentracja dróg przelotowych przez miasto i wzrost liczby samochodów powoduje dodatkowe i niebezpieczne dla życia zatrucia spalinami, a głównie rakotwórczym benzopirenem. Japońscy eksperci drogowi głowią się teraz, jak odrobić błędy popełnione przez ich lekkomyślnych poprzedników, którzy nie biorąc pod uwagę perspektywicznego rozwoju miast i motoryzacji zaprojektowali przelotowe drogi komunikacyjne przez miasta, zamiast obejść je okrężnicami. W lutym 1972 roku zarejestrowano w Japonii 21 milionów samochodów prywatnych, co stawia ją pod tym względem na drugim miejscu w świecie. Przewiduje się jednak, iż w 1985 roku liczba ta podwoi się i osiągnie około 40 milionów.

Następny problem — to pożary. Znaczna część Tokio jest ogromnym skupiskiem dwu- i jednopiętrowych drewnianych domów. A jeśli nastąpi silne trzęsienie ziemi lub wielki pożar? Sądząc z danych władz municypalnych, w wypadku jednej z tych klęsk w Tokio ulegnie zniszczeniu około 20 tysięcy domów, a 200 tysięcy osób zginie pod ich gruzami, pożary natomiast spustoszą wszystko na powierzchni 16 km kw., a około 600 tys. mieszkańców stolicy spłonie żywcem w przeciągu pięciu godzin. Drapacze chmur komplikują problem. Wieczorem, 13 maja 1972 roku, na siódmym piętrze wielkiego domu sprzedaży w Osace wybuchł pożar. W płomieniach zginęło 118 osób. 52 jednostki straży pożarnej, wyposażone w najnowocześniejszy sprzęt przeciwpożarowy walczyły o zlokalizowanie strefy ognia i uratowanie ludzi. Wielu kupujących, którym nie udało się opuścić gmachu, skakało przez okna na ulicę, nawet z ostatnich pięter budynku.

Gigantyczne korki komunikacyjne są powszechnym zjawiskiem w tym przeludnionym mieście. W godzinach szczytu ruchu niektóre pociągi podmiejskie przewożą dwa i pół raza więcej pasażerów, niż pozwalają na to instrukcje bezpieczeństwa technicznego.

Warto zwrócić uwagę na nowe zjawisko, które od niedawna obserwuje się w środowiskach ludzi młodych. Chodzi tu o odpływ siły roboczej z miast, będący nową tendencją migracyjną. Ponad 60 proc. ludzi decydujących się na porzucenie wielkiego miasta nie przekracza 25 roku życia. Wiele spośród nich zamierza stale mieszkać poza granicami wielkich miast, a motywy tych decyzji można sprowadzić do wspólnego mianownika: chociaż w małych miastach zarabia się mniej, to jednak życie jest tam lepsze, przyjemniejsze, lepsze warunki naturalnego środowiska człowieka, można pełniej rozwinąć swoje uzdolnienia.

Przeludnienie, jak również wielkie zanieczyszczenie naturalnego środowiska człowieka, przybrały w dużych miastach tak groźne rozmiary, że opinia publiczna domaga się coraz energiczniej wydania zakazu budowy zakładów przemysłowych w miastach, w wyniku czego szereg firm już dziś odczuwa trudności przy lokalizacji nowych fabryk w granicach strefy miejskiej.

Japończycy, podobnie jak wszyscy mieszkańcy naszej Planety, chcą polepszyć sobie życie. Żeby jednak usunąć nierówności społeczne i pogarszające się warunki bytu, a w tym także katastrofalne wprost zanieczyszczenie środowiska naturalnego trzeba by przede wszystkim ulepszyć infrastrukturę na całym terytorium kraju i cały wysiłek skierować na podniesienie stopy życiowej ludności. W tym celu, jak oceniają eksperci, należy w najbliższych latach dokonać w Japonii inwestycji rzędu wielu miliardów jenów: w zakresie budownictwa mieszkaniowego, stworzenia stref zielonych, parków i boisk sportowych, rozwoju urządzeń sanitarnych i służby zdrowia, budowy portów, rozbudowy systemu kanalizacyjnego i stacji oczyszczania wody i powietrza oraz ścieków przemysłowych, usprawnienia służby oczyszczania miasta i niszczenia odpadków. Niektórzy ekonomiści wyrażają pogląd, iż zwiększenie tempa rozwoju ekonomiki kraju i rozszerzenie produkcji przemysłowej nie jest zadaniem pierwszoplanowym i że uwagę i wysiłki należy skierować przede wszystkim na polepszenie warunków socjalnych ludności. Ale czy w warunkach systemu kapitalistycznego można poważnie mówić o wyborze między wzrostem ekonomicznym a dobrobytem? „Możliwości życia godnego człowieka nie można darować" — twierdzą przemysłowcy. Tylko „proces gromadzenia", uzależniony od dalszego wzrostu ekonomicznego i od naszej energii stwarza perspektywy realizacji sfinansowania tych zamierzeń — mówią potentaci japońscy, odsuwając w ten sposób na daleki plan szybkie rozwiązanie problemów poprawy warunków socjalnych ludzi pracy. Żeby rozstrzygnąć problemy związane z przeludnieniem i zanieczyszczeniem środowiska trzeba przede wszystkim dokonać przemieszczenia zakładów przemysłowych w skali całego kraju, przebudować miasta i usprawnić produkcję fabryk, przeanalizować struktury inwestycji w zakresie potrzeb socjalnych. Może tego dokonać tylko szybko rozwijająca się ekonomika, zdolna do zabezpieczenia ogromnych środków dla realizacji wspomnianych projektów. To prawda — przyznają postępowi działacze polityczni — że rozwój ekonomiki może zabezpieczyć te kapitały, tyle tylko, iż nie zostaną one skierowane na polepszenie bytu mas pracujących Japonii, lecz powiększą jedynie konta zysków oligarchii finansowej.

Duże zainteresowanie wzbudziła na Zachodzie książka premiera Japonii K. Tanaki „Zbudować nową Japonię", w której rozważa on możliwe, jego zdaniem, drogi wyjścia z trudnej sytuacji, w jakiej znajduje się kraj. Wyjątki z tej książki zamieścił francuski dziennik „Figaro". Warto zwrócić uwagę na niektóre poglądy Tanaki.

Najwięcej uwagi poświęca premier Japonii sprawom nowej polityki przemysłowej. „Tu i ówdzie — pisze Tanaka — rozlegają się głosy, że zmniejszenie tempa rozwoju ekonomicznego doprowadziłoby do stabilizacji cen. Jednakże przykład Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych wskazuje na wręcz coś przeciwnego. W rzeczywistości główną bronią w walce ze wzrostem cen jest podniesienie efektywności pracy w tych gałęziach przemysłu, w których produkcja jest jeszcze stosunkowo niska: w gospodarce rolnej, średnich zakładach produkcyjnych, a głównie w sferze usług. W związku z tym należy stymulować pęd do modernizacji i racjonalizacji produkcji, stawiać do dyspozycji pracodawców bardziej wykwalifikowany personel, stwarzać robotnikom niezbędne warunki do podwyższania ich kwalifikacji zawodowych. Szybko zmodernizować system usług.

Problem polega na tym, żeby wiedzieć, w jaki sposób na czterech głównych wyspach japońskich, których powierzchnia wynosi około jednej dwudziestej piątej części terytorium USA, rozmieścić ekonomiczny gigant, nie ustępujący pod względem siły przemysłowej mocy Stanów Zjednoczonych.

Niepowstrzymany wzrost jest obosieczną bronią, która może przynieść i korzyści, i szkody.. Kraj — pisze Tanaka — stoi dziś przed problemem, w jaki sposób najlepiej wykorzystać nagromadzone bogactwa. Nowa polityka przemysłowa powinna bazować nie tylko na planowanym wzroście ekonomicznym, ale także uwzględniać możliwości w sferze duchowego wzbogacania Japonii. Innymi słowy, ekonomika powinna się orientować na nowe dynamiczne gałęzie przemysłu, które spowodują najmniejsze szkody otaczającemu środowisku człowieka. Nowe, harmonijne kojarzenie przemysłu z otaczającą przyrodą pozwoli na odnalezienie utraconej radości obcowania z naturą. Wśród nowych rodzajów działalności człowieka, bazujących na przodującej technologii, badaniach naukowych i dalszym rozwoju ekonomicznym znajdują się takie dziedziny, jak informatyka, aeronautyka, produkcja samochodów o napędzie elektrycznym, konstruowanie robotów przemysłowych, stosowana oceanologia itp. Ale żeby szybko pójść w tym kierunku, trzeba korzystać z najnowocześniejszej techniki i wykształcić kadry pracowników przemysłu, odpowiadające wymaganiom nowej epoki".

JERZY CZECH

POD ZNAKIEM ZMIANY RZĄDÓW: W NRF I PORTUGALII

Miniony tydzień obfitował w wiele wydarzeń. W dwóch krajach: NRF i Portugalii powołane zostały nowe rządy, we Francji odbyła się druga i decydująca tura wyborów prezydenckich, we Włoszech referendum przyniosło porażkę chadecji, gdyż 59,1 proc. głosujących opowiedziało się za utrzymaniem ustawodawstwa rozwodowego, toczyły się ważne rozmowy na temat Bliskiego Wschodu, ale jednocześnie na froncie syryjsko-izraelskim nie ustają starcia militarne, w Wietnamie zakłócony został przez Sajgon proces umacniania pokoju, a w Stanach Zjednoczonych Nixon ma nowe kłopoty w związku z aferą Watergate...

Nie starczyłoby miejsca na choćby skrótowe omówienie tych wszystkich faktów tygodnia. Dlatego dzisiejszy przegląd aktualiów przeprowadzimy **pod znakiem zmiany rządów.**

15 i 16 maja przyniosły w NRF wybór przez Bundestag nowego prezydenta i nowego kanclerza. Walter Scheel i Helmut Schmidt przejęli ster rządów państwa zachodnioniemieckiego. Pierwszy jest najmłodszym prezydentem, drugi — najmłodszym kanclerzem. Obaj wybrani zostali zdyscyplinowaną większością głosów koalicji SPD-FDP, co wbrew nadziejom opozycji nie zapowiada jej zmierzchu. Nawet odwrotnie — **z kilkudniowego kryzysu koalicja wychodzi wzmocniona.** Można to odczytać z oświadczenia rządowego.

W znacznej części jest ono poświęcone problemom wewnętrznym, które nie układają się w NRF najlepiej. Odczuwalne ciągle skutki kryzysu paliwowego i nasilająca się inflacja hamują rozwój gospodarczy. Dlatego **Schmidt głosi konieczność oszczędzania i wyrzeczeń.** Ale głosi też — po raz pierwszy w NRF — **konieczność polegania przede wszystkim na własnych siłach.** Czy jest to zapowiedź osłabienia więzi z EWG — za wcześnie prorokować.

W oświadczeniu rządowym jest oczywiście również mowa o polityce zagranicznej NRF. Ma ona opierać się na Pakcie Atlantyckim, w ramach którego nowy rząd NRF chce umocnić swe więzy ze Stanami Zjednoczonymi. I znowu nasuwa się pytanie: jakie będą tego konsekwencje na osi Bonn—Paryż?

W polityce wschodniej **nowy kanclerz zapowiada pełną kontynuację,** mówi też o wkładzie NRF w rozwijający się proces odprężenia europejskiego. Oczekuje sukcesu Europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy oraz wiedeńskich rozmów na temat redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie Środkowej.

Linię polityki zagranicznej ukształtował gabinet Brandta — Schella. Ale w obecnym układzie stosunków międzynarodowych nie ma dla niej alternatywy. Tą mogłoby być tylko powrócenie do okresu „zimnej wojny", której — nie licząc wąskich kół — nie chce nikt. Dlatego jesteśmy przekonani, że NRF Schella — — Schmidta będzie nie tylko utrzymywać, ale i pogłębiać kurs na odprężenie.

Rozumie to opozycyjna CDU/CSU. Nie bez powodu przecież przywódca opozycji w Bundestagu — K. Carstnes zareagował na deklarację rządową słowami: „Ta deklaracja nie da nowego początku". A co dla CDU/CSU jest „nowym początkiem" nie musimy rozszyfrowywać.

Na temat programu nowego rządu zabrała głos także DKP. Jej przywódca — Herbert Mies odniósł się krytycznie do wielu zamierzeń wewnętrznych Schmidta, stwierdzając m.in., że oszczędnościowy plan powinien być realizowany nie kosztem pracujących, a zbrojeń, subwencji i ulg podatkowych dla wielkiego przemysłu. Ale w odniesieniu do polityki zagranicznej powiedział: — DKP wita z zadowoleniem fakt, że w deklaracji rządowej Schmidta oświadcza się, iż **konieczna jest dalsza poprawa stosunków naszego kraju z państwami socjalistycznymi** i realizowanie zawartych układów zgodnie z ich duchem i literą.

Przewędrujmy teraz dalej na zachód — do Portugalii. Jest niewątpliwie przypadkiem, że w tym samym czasie również w Portugalii wybrany został nowy prezydent (Antonio Spinola) i powołany nowy rząd. Droga do tych zmian była jeszcze bardziej dramatyczna niż w NRF. Pisaliśmy zresztą o tym. Na czele tymczasowego rządu portugalskiego stanął Adelino de Palma Carlos, a jego program najlepiej charakteryzują słowa: **„Służyć będziemy Portugalii poprzez demokrację".** W składzie gabinetu znaleźli się komuniści i socjaliści, co najlepiej ilustruje głębokość zmian, jakie dokonały się w tym kraju. Tak zresztą, jak po raz pierwszy od 48 lat oficjalne kolportowanie w Lizbonie tygodnika „Avante" — organu PPK.

Portugalia stoi przed wielu złożonymi problemami, ale najpoważniejszym z nich jest bez wątpienia **problem kolonii w Afryce i wojen kolonialnych.** Dlatego nie dziwi, że nowy rząd rozpoczął już rozmowy, które rychło mogą przekształcić się w negocjacje, na temat zakończenia wojny w Gwinei portugalskiej. Prowadzi się również sondaże co do znalezienia politycznego rozwiązania konfliktu w Mozambiku. Z pewnością nie będą to dyskusje łatwe, ale od rozwiązania tych problemów zależy w dużym stopniu przyszłość Portugalii.

Jak już pisaliśmy na tym miejscu, nowe władze muszą też podjąć energiczne działanie, aby szybko rozwiązać katastrofalną **sytuację gospodarczą kraju.** Ostatnio dodatkowo komplikuje ją fala strajków. Górnicy, stoczniowcy, pracownicy zakładów samochodowych i budowlanych domagają się podwyżki uposażeń i poprawy warunków pracy. Prez. de Spinola zapowiedział, że największą troską władz jest położenie kresu szalejącej inflacji. Ustali się minimalną płacę oraz zapoczątkuje politykę socjalną. Tak więc Portugalia jest na ostrym zakręcie dziejowym.

W. SŁAWSKI

ZDARZENIA ZWIERZENIA?!

PIĘKNE PASJE CECYLII I JANUSZA DUNINÓW

Nie sposób napisać recenzję z książki Cecylii i Janusza Duninów — „Exlibrisy — książki — ludzie". Jest to bowiem książka bardziej do oglądania niż do czytania. Oczywiście nie pomniejszam tu wcale wagi tekstu, który przypomina nam fakty istotne zarówno dla samego zjawiska exlibrisu jak i historię i prehistorię łódzkiego bibliofilstwa.

Rzecz jednak w tym, że ów urokliwy i kształcący tekst traci nieco swoje popularyzatorskie walory w zestawieniu z maleńką notką w metryczce książki — „nakład 2 tysiące egzemplarzy". Książka napisana popularnie — niosąca zapis łódzkiej tradycji — bardzo pięknej i bogatej tradycji bibliofilskiej — poprzez wadliwie obliczony nakład sprowadzona została do roli albumu dla koneserów. A przecież mogła być zarówno albumem dla koneserów jak i książką dla wszystkich.

Zostawmy jednak narzekania. Bardzo dobrze, że ta książka ukazała się w ogóle, że została napisana i skompletowana. Piszę skompletowana, bowiem składa się ona — oprócz tekstu Duninów — z około 180 (stu osiemdziesięciu!) exlibrisów z ogromnych zbiorów tej samej pary bibliofilów.

Jakby więc nie patrzeć, jest ta książka niezwykle cennym dokumentem. Jest nie tylko zwięzłą historią łódzkiego bibliofilstwa, ale jest po prostu wspaniałą galerią wystawową i nawet gdyby ją wydano w stu egzemplarzach, jej wartość zawsze pozostanie niezmienna i wysoka.

Od lat obserwujemy przedziwny renesans exlibrisu — coraz więcej artystów zaczyna uprawiać ten piękny rodzaj grafiki, coraz więcej ludzi stara się o własne znaki książkowe, coraz więcej wystaw i coraz ciekawsze kolekcje... Książka Cecylii i Janusza Duninów ukazała się w samą porę, choć mogła ukazać się wcześniej, ale i tak trafia to urokliwe wydawnictwo w samo centrum odrodzenia exlibrisu. I choć możemy żałować, że tak drastycznie ograniczono zasięg tej książki, to przecież cieszyć się wypada, że album Duninów jednak jest!

Bo przecież przed paru laty ukazała się, w Wiedniu bodaj, znakomita publikacja Cecylii Dunin na temat exlibrisu. Doszliśmy więc już do tego, że wybitni znawcy exlibrisu, cenieni w Europie, mogą wydawać swe książki w Łodzi. Trudno się z tego nie cieszyć.

Znalazłem jednak w przypisie bibliograficznym książki Duninów maleńką pozycję, z której cieszyć się nie potrafię. Oto czytam: J. Jaworska — „Łódzka produkcja wydawnicza 1863—1918". Łódź 1969 (maszynopis). Więc jest taka fundamentalna pozycja? I to jest w... maszynopisie? Więc nikt nie uważa za stosowne wydać tak istotnego dokumentu kultury?

Niestety. W przypisach książki Duninów znalazłem następną taką pozycję: J. Kram — „Almanach exlibrisu polskiego XX w." Kraków 1948 (maszynopis). I znów to samo? Od dwudziestu paru lat leży gdzieś sobie taka praca i krakowskie Wydawnictwo Literackie (znane z pięknych książek przecie!) nic o tym nie wie? Jak więc — widać piękna książka Cecylii i Janusza Duninów skłania do refleksji nie tylko nad małym znakiem książkowym.

A exlibris wciąż zdobywa nowych zwolenników — od dziesięciu lat odbywa się w Malborku Międzynarodowe Biennale Exlibrisu Współczesnego. Przed paroma laty w salonie wystawowym przy głównej ulicy Moskwy widziałem gigantyczną ekspozycję exlibrisu radzieckiego, przed paroma dniami w Bibliotece Rejonowej przy ul. Rojnej na Teofilowie otwarto wystawę exlibrisów Zbigniewa Janeczka... Wystawy wielkie i małe — kolekcje wielkie (Duninów, Andrzeja Kempy, Michała Kuny) i maleńkie... Zainteresowanie wokół małego znaku książkowego wciąż rośnie.

Piękna książka Duninów o exlibrisach, książkach i ludziach kochających książki wyrosła z pasji i wiedzy, z miłości do piękna i umiłowania kultury. Piękne to pasje i książka urokliwa.

WIDOK

POMNIK NIEZNANEGO SMOLARZA

Obserwowanie paradoksów, jakie niemal codziennie przynosi nam życie, jest zajęciem ze wszech miar interesującym, zabawnym, a także pożytecznym. Interesującym, bo paradoksy są nieoczekiwane i rodzą się w miejscach, gdzie nikt ich się nie spodziewa, ale taka już jest ich natura. Zabawne — to chyba oczywiste. Dlaczego ich wyszukiwanie jest natomiast pożyteczne? Bo dzięki temu można wiele nauczyć się o współczesnym życiu, poznać naszą obyczajowość, dowiedzieć się coś niecoś o mechanizmach społecznego i nie tylko działania.

Jak więc tylko mi czas pozwala, zbieram paradoksy i kolekcjonuję je tak, jak inni stare kufle, makietki samochodów, lampy naftowe, książki czy wręcz dziewczyny. Zbieram paradoksy, bo jest to takie samo dobre kolekcjonerstwo, jak każde inne, a może nawet trochę bardziej pożyteczne, bo uczy mnie tego i owego o naszym życiu. Nie wszystkie jednak paradoksy i paradoksiki muszą zaraz mieć walor poznawczy. Niektóre są po prostu zabawne. Opowiem więc o dwóch paradoksach, każdym z innej dziedziny życia.

Pewnego razu zaprosili mnie znajomi do siebie na nowe osiedle. Myślałem początkowo, że stęsknili się za mną, ale okazało się rychło, że cel był całkowicie utylitarny. Pokazali mi POMNIK NIEZNANEGO SMOLARZA. Stoi pośrodku niedokończonego skweru. Na dwóch cementowych blokach — beczka ze smołą lub po smole.

— Dlaczego jest to pomnik nieznanego smolarza? — pytam.

— Bo nikt z nas nie widział nigdy kogokolwiek przy tej beczce i dlatego sądzimy, że zostawiono ją tylko dla upamiętnienia smolarza, który nie dał się nikomu poznać jako dobry smolarz.

Pomnik nieznanego smolarza — przyznacie, że nazwa jest dowcipna — ilustruje tylko powszechne, niestety, zjawisko bałaganiarstwa. Można byłoby napiętnować gromkimi słowami tych, którzy zaczynają a nie kończą, którzy w wiadomym sobie celu rozkopują ulicę i pozostawiają ją na długie miesiące aby utrudniać życie ludziom i samochodom, ale takie piętnowanie nie miałoby żadnego sensu. Sam obserwowałem pracę różnych ekip budowlanych i — niestety — wiem, że pracują oni na kilku frontach jednocześnie. Gdy tylko na jednym z frontów ich pracy coś nawali, nie dostarczą np. potrzebnych materiałów, to zostawiają zaczętą pracę i śpieszą na inny wcześniej już rozgrzebany. Posuną trochę pracę do przodu i w następnych dniach posuwają ją już na zupełnie innym froncie robót, pozostawiając pozostałe do lepszych czasów. Taka metoda pracy może i dobra, ale kłopotliwa jest przede wszystkim dla mieszkańców różnych ulic, osiedli i dzielnic.

Ludzie biegli w piśmie i nauce powiedzieliby zaraz, że zapewne w tych przedsiębiorstwach szwankuje organizacja pracy, że kooperacja i zaopatrzenie nie stoją na nowoczesnym poziomie i będą mieli rację, ale co z tego. O tym wszyscy wiedzą dobrze i to od dawna. Ludzie biegli w piśmie i nauce powiedzieliby jeszcze, że brak ludzi można zastąpić coraz to szybciej rozwijaną mechanizacją pracy i też będą mieli rację. Tego uczy nas historia techniki, ale i o tym też wszyscy wiedzą, bo tego uczą już w szkole średniej, a może i nawet w starszych klasach szkoły podstawowej.

Paradoksy mają jednakże bawić, więc dajmy spokój sprawom smutnym i powszechnie znanym, a zajmijmy się pewnym zabawnym paradoksem. Otóż u zupełnie innych znajomych, którzy kolekcjonują książki kucharskie, miałem przyjemność obejrzeć nowe ich nabytki. Była tam między innymi Idy Plucińskiej „Książka kucharska udoskonalona z dodatkiem — Soja i jej zużytkowanie w kuchni". Książka ta otrzymała złote i srebrne medale na różnych wystawach: w 1926 roku w Częstochowie, Łodzi i Warszawie i w 1927 — w Poznaniu. Jej piąte — a drugie po wojnie — wydanie, tłoczone w Jeleniej Górze, miałem właśnie w ręku. Poprzednie ukazało się w 1945 roku, więc mogę założyć, że piąte — w rok lub dwa później.

Przeglądając tę książkę doszedłem do wniosku, że kulinarna pomysłowość ludzka jest nieograniczona i że pani Ida Plucińska nie bardzo orientowała się w zachodzących w kraju przemianach, bo inaczej nie pozostawiłaby szczegółowych instrukcji, jak należy odnosić się do służby. Jak wiadomo pojęcie takie odeszło w przeszłość wraz ze służbą, a dziś zdobycie dobrej pomocy domowej równa się niemal wygraniu miliona złotych w Toto-Lotka. A mimo to potrafiła zaprezentować taki wybór dobrych przepisów, że aż ślinka leci przy lekturze książki kucharskiej. I doszedłem do wniosku, że upada dziś obyczaj dobrego jedzenia, a jeśli nawet gdzieś istnieje, to kultywowany jest przez hobbystów, ludzi gromadzących stare przepisy i usiłujących sprawdzać je we własnej, domowej praktyce. A przecież nikt nie zabrania kucharzom gastronomii kupować takie stare książki i szukać w nich natchnienia dla preparowania menu ich lokali.

Lubię jadać w restauracjach. Odwiedzam więc je od czasu do czasu, ale niestety z góry już wiem, co gdzie można zjeść i mogę zamawiać sobie obiad bez sięgania do karty. Jeśli to robię, to tylko w oczekiwaniu, że oto nagle spotka mnie niespodzianka. I istotnie raz mnie spotkała. Nie wytrzymałem i kierownikowi jednego z lokali powiedziałem po przyjacielsku nawet, że powinien coś zrobić ze swym szefem kuchni, aby pobudzić jego inwencję kulinarną. Poskutkowało, o czym przekonałem się w kilka dni później. Zaskoczenie było tak ogromne, że zamówiłem nowość w tym lokalu — medalion na grzance. Była to ogromna niespodzianka. Przez tydzień później musiałem pozostawać na diecie. Teraz lokal ten omijam z daleka, ale wiem, że moja reakcja jest irracjonalna, bo jaką mam gwarancję, że w innej knajpie nie poczęstują mnie równie nieświeżym mięsem tylko ładnie zakamuflowanym np. grzankami.

Mijają czasy, zwiększa się rytm naszego życia, odchodzą w przeszłość różne obyczaje, zwyczaje i nazwy. Kiedy niedawno ktoś w towarzystwie wspomniał coś o „pocztowych śledziach", to rozległ się gromki śmiech, a ktoś inny powiedział, że są też „kolejowe zające". Tymczasem pani Ida Plucińska bardzo dobrze wyraża się o śledziach pocztowych, dając kilka sposobów smakowitego ich przyrządzania. W ogóle — jak się okazuje — było kilka rodzajów śledzi, o których dziś nie śni się nawet filozofom, jako że wszystko teraz mamy w puszce i w sosie własnym lub w pomidorach.

Nie będę zdradzał przepisów, jakie znalazłem w tej książce, powiem tylko, że kiedy przeczytałem sobie przepis pod tytułem: „Pasztet tani a dobry", to okazało się, że po pierwsze wcale on taki tani nie jest, a po drugie — że nie będzie wcale tak łatwo go zrobić. Nie wiem bowiem zupełnie, co to jest np. „forszlak cielęcy". I w ogóle do starych przepisów potrzebny byłby jakiś słownik współczesny, który tłumaczyłby na język bliski nie tylko nazwy ale i miary.

Ale wcale nie na tym polega paradoks tej książki. Życie zmienia się i myślę, że za 20 lat nasi synowie będą też wydziwiali na nazwy niezupełnie dla nich jasne. Paradoks znalazłem w małej pieczątce, która głosi, kto kiedyś był właścicielem tej książki. Napis na pieczątce brzmi: „Biblioteka więzienna w Łodzi II", a książka ta była tam zapisana pod numerem: 5 820. I tu się serdecznie ubawiłem. Wyobraziłem sobie więźniów, którzy wprawdzie karmieni są pożywnie, ale przecież zawsze monotonnie, którym nie daje się na śniadanie ani „kawioru z sago" ani „jaj faszerowanych", ani tym bardziej „jaj na twardo w auszpiku", wyobraziłem sobie tych więźniów, wypożyczających książkę nr 5 820 i zaczytujących ją dokładnie. Życie jest bardziej pomysłowe niż niektórzy ludzie.

Co jeszcze życie wymyśli? Jak spotkam znów coś pouczającego lub ciekawego i zabawnego, postaram się opowiedzieć.

MARCIN RODAK

LEWYM OKIEM

ABAŻUR W PIKASY

Ciekaw jestem, ilu spośród Was pali w domu nocne lampki. Czy w ogóle gdzieś coś takiego jest w użyciu? Po co się pali nocne lampki? Żeby nie było ciemno, ale też żeby nie było widno? Czy stawia się je na nocnym stoliku po to, żeby w nocy budząc się sprawdzić na zegarku przy nikłym światełku, która godzina? Żeby trafić nogą w pantofel, gdy trzeba nagle wstać pośród nocy? A kto i gdzie ma w ogóle „nocny stolik" przy tapczanie?

W nielicznych sklepach z tak zwanym „sprzętem oświetleniowym" znajdziecie zawsze trzy kategorie owego sprzętu: żyrandole, wielkie lampy stojące i lampki nocne. Wielki wybór lampek nocnych, niektóre nawet ładne i pomysłowe, a wszystkie nie służące do niczego. Spory wybór żyrandoli, chociaż jak się chce naprawdę kupić, to się okazuje, że wybór jest pozorny, a w rzeczywistości wszystkie one są jednakowe: metalowy, niklowany szkielet i pobielone beczułkowate klosze. Lampy stojące, stanowiące osobny mebel w naszych skromnych metrażach i zastępujące właściwie zasadniczo oświetlenie pokoju, znajdziemy zawsze w tych samych dwóch rodzajach: z półeczką a la stolik i bez półeczki. Wprost na żarówkę nadziewa się abażur z woskowanego papieru, pomalowany w pikasy. Okropność. Najistotniejsze zaś, że prawie nie ma nigdzie czwartej, najpotrzebniejszej kategorii „sprzętu oświetleniowego" — lamp na biurko, lamp po prostu do pracy.

Nie będziemy tym razem mówić o niezmiernej tandecie całego oświetleniowego sprzętu, świadczącej o tym, że nie jest on chlubnym wyjątkiem pośród wielu innych „wyrobów powszechnego użytku". Niklowane (rzekomo) szkielety żyrandoli po paru miesiącach pokrywają się rdzawymi plamami i nie pomoże im żadne czyszczenie — trzeba by właściwie ponownie zanurzyć je w jakiejś kąpieli i pokryć na nowo i naprawdę warstwą niklu. Oprawka żarówki, nabita wprost na główny „nośny" pręt żyrandola czy lampy stojącej, albo siedzi na nim krzywo, albo wcale jej nie można odkręcić, albo po odkręceniu okazuje się, że pręt wcale nie był nagwintowany i żadnej innej oprawki już się nasadzić nie da. Po zawieszeniu pod sufitem i obciążeniu całości kloszami okazuje się, że to czy tamto gniazdko przestaje kontaktować, albo że żarówka nie chce się zmieścić w oprawce, albo mieści się, ale nie świeci. To przecież powszechne zjawisko, że w każdej naszej lampie trzeba wkręcić 3—4 żarówki zanim się wreszcie któraś z nich „nada" i zaświeci.

Woskowane abażury, przeznaczone do nasadzania wprost na żarówkę, do jednych żarówek pasują, do innych nie. Kiwają się wtedy i przekrzywiają uciesznie na bakier — żadne mocne słowo nie poradzi. Podobno to wszystko domyślają plastycy, choć trudno w to uwierzyć gdy się ogląda wystawy. Owszem, widywałem piękne żyrandole i — oczywiście — „lampki nocne" — na Targach w Poznaniu. W łódzkich sklepach, przykro mi, nie widzę.

Ale przy tym wszystkim powiedzcie wreszcie jasno i wyraźnie: dlaczego nie ma żadnych, a więc nawet brzydkich, nawet tandetnych, lamp do pracy?

Jest tylko jeden jedyny rodzaj takich lamp: podstawka metalowa, sprężynowa, dająca się dowolnie wyginać, z metalowym kapturem, osłaniającym żarówkę. Wyginanie owszem praktyczne, można ustawić sobie lampkę pod dowolnym kątem, wyżej lub niżej. Kaptur blaszany nagrzewa się natomiast tak, że piszącemu przy takiej lampie siódme poty biją na czoło. Mam właśnie taką lampę, jest za mała, ale mogłem ją wygiąć i jakoś szło. Z natury rzeczy znajduje się zawsze blisko głowy i bijący od niej żar rozpala mi policzki. Jakoś jednak, powiadam, szło, tylko że wreszcie ów rzekomy nikiel zardzewiał, a całość mi się rzewnie sprzykrzyła. I już nie chciałbym żeby „jakoś tam było", tylko chciałbym mieć lampę praktyczną i ładną. Żebym nie musiał się z nią z trudem oswajać i godzić, tylko żeby mi się podobała. Przecież siedzę przy lampie wiele, wiele godzin, dużą część żywota. Dlaczego w sklepach **nie ma nigdzie nic?**

Tak się złożyło, że dzieciństwo spędziłem — wyobraźcie sobie — przy lampie naftowej. Nie, nie na wsi. W Warszawie. To była malutka lampka i też grzała, a nawet można było sobie nad nią brwi i włosy przypalić. Teraz znów widzę w sklepach elektrycznych lampy, udające tamte naftówki. Te są strojniejsze, ale nieprawdziwe. Nieprawdziwe i przez to głupie i szpetne. Prawdziwą bym postawił jak relikt, grymas, kaprys — ale nie po to, żeby świeciła. Tandetnej a błyszczącej atrapy nie postawię. Szukam prawdziwej lampy do prawdziwej pracy. Gdzie taką dostanę?

ĆWIEK

JEDEN CONTRA DWUDZIESTU DWÓCH

Stanisław Szozda, który na pierwszych etapach Wyścigu Pokoju dość enigmatycznie mówił o swoim samopoczuciu i o swojej formie, pokazał że ani na jedno, ani na drugie nie może narzekać. Niezależnie od tego, co jeszcze zdarzy się na trzech ostatnich etapach 27 Wyścigu Pokoju, Stanisław Szozda pokazał już na co go stać i jakiej klasy jest zawodnikiem. Wjeżdża na metę trzech kolejnych etapów przez nikogo nie zagrożony i jeszcze długo przed biała linią podnosi wysoko w górę ręce, aby pokazać, że już czuje się zwycięzcą.

Swoją klasę pokazał Stanisław Szozda na niedzielnym etapie z Karl — Marx — Stadt do Sokolova, kiedy nie dał się zaskoczyć Gorełowowi, inicjującemu ucieczkę już na 8 kilometrze najdłuższego etapu obecnego wyścigu. Czego nie można powiedzieć o Tadeuszu Mytniku. Do ubiegłej niedzieli nie udała się żadna ucieczka. Gorełow wyciągnął z tego właściwy wniosek i okazał się dobrym taktykiem. Jeśli uciekać — postanowił — to tylko w takim momencie, kiedy nikt nie będzie się spodziewał ataku i kiedy inni zlekceważą taką próbę. Ale Stanisław Szozda nie dał się zaskoczyć i utrzymał pozycję lidera, choć w tabeli nastąpiły dość istotne zmiany.

Niedzielny etap z Karl — Marx — Stadt do Sokolova pokazał, że wystarczy jedna ucieczka, aby cała tabela został przewrócona niemal do góry nogami. Jest to zrozumiałe przy tak minimalnych różnicach w czasie, jakie występują w tegorocznym Wyścigu Pokoju. Stąd wniosek, że pilnować się trzeba od pierwszych kilometrów, tym bardziej, że zaczęły się góry, a to sprzyja ucieczkom. Naszą drużynę — jak się okazuje — nie stać na nieuważną jazdę, bo może w każdej chwili stracić przodownictwo. Ale bądźmy dobrej nadziei.

Szkoda mi właściwie kolarzy, bo ich wielki wysiłek i piękna jazda całego zespołu uchodzi po trosze uwagi kibiców sportowych. Rasowy kibic interesuje się tej wiosny tylko i wyłącznie piłką nożną. I bardziej martwi się o kolano Jana Tomaszewskiego niż o błękitne koszulki sześciu Polaków z uporem pedałujących po zwycięstwo. W ubiegły czwartek, 16 maja br., z niepokojem oczekiwano nie tyle wyniku na mecie w Lipsku, co decyzji Polskiego Związku Piłki Nożnej, który miał ustalić listę 22 zawodników na Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej.

Znamy już wybrańców i wiemy nawet, gdzie i jak będą szlifować formę przed wyjazdem do Monachium. W zakopiańskim Centralnym Ośrodku Sportu, Turystyki i Wypoczynku będą mieli jak u mamy, albo nawet jeszcze lepiej. Czekają na nich najnowocześniejsze urządzenia treningowe z maszyną „Herkules", skomplikowana aparatura lekarska z najnowocześniejszym aparatem do borowania zębów, urządzenia do kąpieli parafinowych i solankowych oraz trzech kucharzy i jeden cukiernik. Kierownik obiektu — Józef Wajda złamał wprawdzie rękę na nartach, ale mimo zwolnienia lekarskiego osobiście dogląda prac przy renowacji boiska piłkarskiego. Natomiast dyrektor COSTiW — Kazimierz Moździerz był uprzejmy wypowiedzieć się na temat remontu ośrodka: — Normalnie taki remont powinien trwać co najmniej miesiąc — a my go wykonamy w 10 dni; no, ale czego ta wspaniała załoga, jaka tu pracuje nie zrobi dla piłkarzy...

Szkoda, że piłkarze będą przygotowywać się do mistrzostw tylko w Zakopanem, bo gdyby tak ich powozić trochę po kraju, to może udałoby się i gdzie indziej zdemaskować to, co uważamy za „normalne", a co nie jest wcale takie normalne. Ale niech tam piłkarzom będzie w Zakopanem jak u mamy, byle zagrali tak dobrze, jak jeździ Szozda.

BOGDA MADEJ

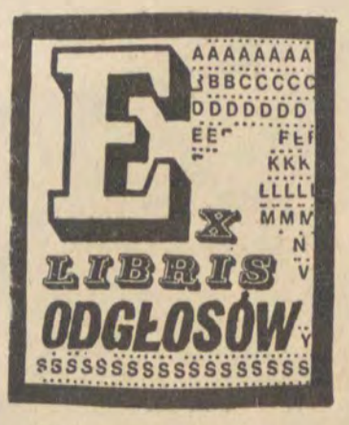

EUROPOLIS

Główną zasługą komandora Eugena Boteza, pisującego pod pseudonimem Jean Bart, jest wprowadzenie do literatury rumuńskiej tematyki morskiej. Przybranie nazwiska słynnego korsarza z XVIII w. rzuca światło na osobowość pisarza. Porzucił środowisko ziemiańskie i został oficerem marynarki, rozpoczynając jednocześnie współpracę z prasą postępową, gdzie zamieszczał krótkie opowiadania marynistyczne.

Obdarzony zmysłem obserwacji, poczuciem humoru i talentem narracyjnym potrafił w swych dziesięciu książkach znakomicie odtworzyć rzeczywistość, która w obecnej chwili wydaje się niewiarygodna i egzotyczna, gdyż świat autora przestał istnieć. „Europolis" to barwna i wzruszająca historia ojca i córki, wzorowana na romansach Pierre'a Lottiego, którą czyta się z dużym zainteresowaniem.

Jean Bart — „Europolis", Wydawnictwo Morskie 1974.

LATO Z MONIKĄ

Dwadzieścia trzy lata mijają od opublikowania po raz pierwszy w Sztokholmie powieści Per Fogelströma „Lato z Moniką". Zdobyła sobie ona dużą popularność nie tylko w Szwecji, ale i poza jej granicami, była już tłumaczona na kilka języków. Na kanwie przeżyć bohaterów utworu Harrey'ego i Moniki Ingmar Bergman zrealizował film.

Problemy wynikające z pierwszych kontaktów dwojga młodych ludzi nadal, mimo upływu lat, nie straciły na aktualności. Zmieniły się wzorce postępowania, jednakże przeżycia psychiczne nastolatków przekraczających próg dojrzałości, są chyba ponadczasowe. Żadne pokolenie nie jest wolne od niepokojów i wzruszeń, wzlotów i upadków a także wielu rozczarowań jakie przynosi z sobą miłość.

Per Anders Fogelström — „Lato z Moniką". Wyd. Poznańskie.

MISJA O PÓŁNOCY

Bogdan Rutha to postać, której dzieje mogłyby się stać kanwą do znakomitego filmu, względnie powieści sensacyjnej. Podczas studiów w Szwajcarii nawiązał kontakt z działaczami Międzynarodowego Komitetu Pomocy dla Hiszpanii Republikańskiej. W 1938 r. przybywa do Hiszpanii, gdzie współdziała przy przerzucaniu przez granicę rannych, a także współpracuje z republikańskim wywiadem.

„Misja o północy" to właśnie osnuta na tle hiszpańskiej wojny domowej relacja kuriera, który w ciągu doby przedziera się ze Szwajcarii przez Włochy, Morze Śródziemne i Francję do Barcelony, aby przekazać ważne zlecenia republikanom.

Powieść spełnia wszelkie warunki sensacyjnego, niemal awanturniczo-przygodowego utworu.

Bogdan Rutha — „Misja o północy", Czytelnik 1974.

WYSPY DOBREJ NADZIEI

Najwybitniejszym współczesnym pisarzem Wysp Owczych należących do Danii jest William Heinesen, znany już w Polsce z powieści „Czarny kocioł". Za najwybitniejszy jego utwór uchodzą „Wyspy dobrej nadziei", podobnie jak poprzednie powieści i nowele inspirowane przez rodzimy archipelag wysp i jemu poświęcone. Akcja rozgrywa się w latach 1665—1671. Główny bohater i narrator, pastor duński Piotr Borresen, staje się rzecznikiem mieszkańców wyspy w oporze przeciw tyranii i korupcji funkcjonariuszy oraz brutalności władz wojskowych. Choć ukazane są tu przede wszystkim zabobony, sadyzm, krzywda i podłość, to jednak orzebija przez to swoisty humor, optymizm i wiara, że jednak sprawiedliwość społeczna zatriumfuje nad zdeprawowanym kolonializmem.

William Heinesen — „Wyspy dobrej nadziei", PIW 1974

CZŁOWIEK NA OSIOŁKU

Każda książka czy film poświęcony legendarnej niemal postaci Henryka VIII cieszy się ogromną popularnością — wystarczy tu przypomnieć angielski serial wyświetlany przez naszą telewizję. Sądzę, że również powieść Hildy F. M. Prescott nie poleży długo w księgarniach. Niedawno zmarła współczesna pisarka angielska nakreśliła w swym dziele szeroką panoramę lat panowania Henryka VIII.

Na kanwie trzech splatających się wątków politycznego, religijnego i romansowego autorka przedstawia obraz burzliwych czasów początków reformacji w Anglii oraz krwawo stłumionego powstania zwanego Pielgrzymką Łaski.

A.N.

Hilda F. M. Prescott — „Człowiek na osiołku", Wydawnictwo Literackie, 1974.

KEDYWIACY

Działalność oddziałów dywersyjno-bojowych „Kedywu" (co znaczyło „Kierownictwo Dywersji") Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej nie znajdowała dotychczas szerszego odbicia w literaturze poświęconej działalności konspiracyjnej w latach hitlerowskiej okupacji. Książka Henryka i Ludwika Witkowskich wypełnia częściowo tę lukę zapoznając czytelnika z najpoważniejszymi akcjami bojowymi „Kedywu" na terenie Warszawy.

Henryk Witkowski uczestniczył w dywersyjnych akcjach już od wiosny roku 1940. Potem był oficerem w oddziale bojowym, dowodzonym przez Ludwika. Ten z kolei przeszedł przeszkolenie w obozie skoczków spadochronowych w Anglii i w lutym 1943 został jako „cichociemny" przerzucony z powrotem do Polski.

Nic dziwnego, że taki tandem autorski ma największe prawo do zapisania tych nieznanych jeszcze kart ostatniej wojny. Jest to nowy, cenny dokument lat wojny, przywołujący pamięć o dowódcach i żołnierzach „Kedywu" i ich ofiarnej walce o niepodległość ojczyzny.

J. WIL.

Henryk i Ludwik Witkowscy — „Kedywiacy", Wyd. PAX, cena 45 zł.

FILM

TYLKO DLA DOROSŁYCH

Filmy o dzieciach, ale czy dla dzieci? To pytanie powraca przy każdej kolejnej premierze filmów Janusza Nasfetera. Jak dotąd, jeśli wspomnimy tylko „Małe dramaty", „Abla, twego brata", „Tego okrutnego, nikczemnego chłopaka" czy „Motyle", Nasfeter robił swe filmy starając się widzieć jako adresatów zarówno dzieci jak i dorosłych. Z prób pogodzenia tych dwu koncepcji rodziły się pewne słabości jego filmów, którym jednakowoż nikt nie odbierał tak szlachetności posłannictwa jak i walorów samej realizacji. Po prostu swoisty kompromis był przyczyną tego, że świat dorosłych, atakowany zresztą zawsze przez reżysera wprost, pozbawiany był niekiedy niezbędnej ostrości widzenia i pełnej dojrzałości sądów. Nie tłumaczył tego fakt, że przedstawiał go Nasfeter z perspektywy widzenia dziecięcych bohaterów kolejnych dramatów. Potwierdził to sam twórca swym najnowszym filmem **„NIE BĘDĘ CIĘ KOCHAĆ"**, w którym przyjmując ten sam punkt widzenia, uczynił obraz świata dorosłych pełniejszym, tragicznie w ocenach dojrzałym. Tym razem Janusz Nasfeter zrobił bowiem film tylko dla dorosłych, mógł więc, nie idąc na żaden kompromis, przedstawić tak ostro dramaty dzieci, których źródłem jest świat ich rodziców. Oskarżycielska i ostrzegająca zaś siła jego najnowszego filmu tkwi właśnie w tym, że tak jak dotychczas, świat ten przedstawił takim, jakim go widzą i odczuwają dzieci.

„Nie będę cię kochać" to film, w którym Janusz Nasfeter obrazuje dramaty dziecięce, których przyczyną jest jeden z najtragiczniejszych przejawów obyczajowości — alkoholizm. Pisząc wraz z żoną, Teresą Nasfeter, scenariusz myślał zapewne reżyser o społecznej funkcji przyszłego filmu — wybrał bowiem taką wersję tematu, która nie poruża grozą sytuacji nieodwracalnej, jaką jest obraz człowieka, znajdującego się już na samym dnie. Wybrał wersję taką, w której dramat właściwie się rozpoczyna, któremu jeszcze można zapobiec — to, że zakończył go akcentem najtragiczniejszym z możliwych, ma wymowę szczególnie silną.

O tym, że Nasfeter znakomicie pracuje z dziećmi, wiedzieliśmy zawsze. Tym razem przeżycia małych bohaterów jego filmu są tym pełniejsze, że znalazł dla nich tło, którego realizm osiągnął wymiar w poprzednich filmach nie dostrzegany. Nasfeter miał bowiem skłonność do swoistego karykaturyzowania postaci dorosłych. W „Nie będę cię kochać" autentyzm obyczajowy i psychologiczny świata dorosłych po raz pierwszy doszedł do głosu w pełni. Dotyczy to zarówno klimatu małego miasteczka, w pobliżu którego ruszyła „wielka budowa", jak i tzw. obyczajowości rodzinnej. Dotyczy to psychologicznego wizerunku ojca, stopniowo pogrążającego się w alkoholizmie i matki dobrej, czułej, walczącej z nałogiem męża i powoli schodzącej w piekło niemocy. Dotyczy to także szkoły, a ściślej nauczycieli, ośmieszanie niczego nie załatwia, toteż postać młodziutkiej nauczycielki, która chce dobrze, a nie potrafi, przekonuje bardziej niżeli drugiej, ukazanej właśnie karykaturalnie.

W osobach amatorki dziennikarki Henryki Dobosz, grającej matkę i Tadeusza Janczara znalazł Nasfeter aktorów, którzy dramat Anki i ich samych uczynili niezwykle przekonywającym. Pani Dobosz w prostocie środków znalazła prawdę postaci zahukanej, nieszczęśliwej kobiety. Tadeusz Janczar wydobył niuanse psychologiczne owej sytuacji matni ogarniającej człowieka, w której siła woli zamiera, choć bohater miota się jeszcze między dobrem i złem swej natury. Janczarowi wystarczyło na to kilka sytuacji, które w scenariuszu Nasfeterów odnalazł.

Główną autorką dramatycznej siły tej opowieści jest jednak Grażynka Michalska, grająca Ankę — jest to najpełniejsza rola dziecięca, jaką zna polskie kino. Tajemnicą reżysera i jego młodziutkiej aktorki będą metody dojścia do ukształtowania tak bogatej psychologicznie postaci. Bez niej ten film byłby uboższy w swej warstwie psychologicznej i w swej ekspresji emocjonalnej, choć przecież wszystkie inne towarzyszące jej w filmie dzieci są w swych postaciach bardzo dobre.

W „Nie będę cię kochać", tak jak i zawsze dotąd, Janusz Nasfeter staje w obronie dzieci, skłania ludzi dorosłych do refleksji nad własnym życiem, determinującym i kształtującym życie ich dzieci. Ukazuje wewnętrzny świat dzieci i ich reakcję na świat dorosłych. W filmach swych uświadamia Nasfeter to, z czego nie zdają sobie sprawy ci, którzy dają dzieciom życie, ich nieprzygotowanie do rodzicielskich funkcji, brak podstawowej odpowiedzialności za to powołane życie. W filmach swych Nasfeter atakuje również ludzi, uosabiających instytucje przez społeczeństwo powołane do odpowiedzialności za losy dzieci. Upór Janusza Nasfetera powracającego do tych tematów budzi szacunek tym większy, że sam wie, że ludzie dorośli nie chcą jego filmów oglądać. Nie lubią, gdy zakłóca się ich spokój sumienia. Robi Nasfeter swe filmy, choć zna ograniczoność możliwości, jeśli pomoże choć kilkorgu dzieciom, jego upór będzie nagrodzony. Kochać dzieci to bardzo nieprosta rzecz, choć wydaje się tak oczywista.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA

NIEOCZEKIWANY STYK

Czytam bestseller krytyczny ostatnich tygodni czyli książkę Urszuli Czartoryskiej „Od pop-artu do sztuki konceptualnej". Pozycja ta mimo stosunkowo wysokiego nakładu błyskawicznie ulotniła się z księgarń, albowiem jej tytuł zapowiadał wtajemniczenie w najbardziej ekscytujące rejony sztuki współczesnej. Czartoryska opisuje niejako „na gorąco" ekscentryczne przygody plastyki ostatnich kilkunastu lat, które u nas były do tej pory komentowane fragmentarycznie w kręgach zamkniętych, a jeżeli dostawały się do szerszej opinii publicznej to jedynie w formie skandalizującej plotki o charakterze bardziej obyczajowym, aniżeli artystycznym. Podejrzewam też, że nadspodziewane powodzenie książki Czartoryskiej bierze się właśnie z nastawienia plotkarskiego (kto i gdzie napluł), z oczekiwania na opis sensacji i wybryku.

Wśród kilku generalnych formuł interpretacyjnych, którym podporządkowuje autorka splątane tropy awangardowych poszukiwań szczególną uwagę zwraca „fascynacja potocznością". U jej źródeł leżą prowokacje Marcela Duchampa, proroka i protoplasty współczesnej awangardy, którego działania artystyczne sprowadzały się do swoistej konsekracji zwykłych przedmiotów o funkcjach użytkowych i nierzadko trywialnych w dzieła sztuki eksponowane w galeriach. Błazeński gest Duchampa przekreślił bodaj najważniejszy kanon dotychczasowej tradycji artystycznej, który zakładał niezależność dzieła sztuki od otaczającej rzeczywistości i jego swoistą, właściwą jedynie przedmiotom artystycznym, konstrukcję formalną. Stąd bierze się totalne zrównanie życia ze sztuką, nadanie artystycznej potencji każdemu fragmentowi rzeczywistości, jeżeli tylko zyska on przychylność artysty.

Sztuka dąży dzisiaj z obsesyjnym uporem do anonimowości i do zepchnięcia odpowiedzialności za artystyczny efekt na przypadek. Postulat oryginalności nadal dynamizuje jej rozwój, ale przesunął się w sferę intencji i wyjściowego konceptu.

Kulminacyjną formą tego nowego statusu estetycznego awangardowej twórczości plastycznej jest happening. Happening jako zjawisko z pogranicza plastyki i teatru rozszerza wspomnianą „fascynację potocznością" o wymiar czasu. Najgłębszą istotą a zarazem ideałem happeningu jest absolutna nieokreśloność i niepewność tego, co się zdarzy. Proces bezpośredniej aneksji zdarzeń rzeczywistych, codziennych i niewyszukanych w dzieło sztuki był w happeningu najbardziej radykalny. Wystarczy przywołać — za Czartoryską — przykład happeningu nazwanego „Cityrama", w którym zachodnioniemiecki happener Wolf Vostell zaprosił swoich gości do zajęcia miejsc w kursującym trasą Bulwarów autobusie paryskim i proponował kontemplację mijanej rzeczywistości, żywiołowe współdoświadczanie głębszego sensu egzystencji.

Zamykam książkę Czartoryskiej i włączam telewizor, by obejrzeć bezpośrednią transmisję z zakończenia kolejnego etapu Wyścigu Pokoju. Każda z takich telewizyjnych relacji posiada określoną dramaturgię, ściśle zaprojektowany scenariusz, który przewiduje powtarzalny harmonogram zdarzeń: finisz przed i na stadionie, zwycięstwo, wywiady, dekoracja, runda honorowa itd. Tak więc znane i powtarzalne są funkcje składające się na kolejne zdarzenia, nieznany natomiast — i to właśnie organizuje szaloną emocję — jest każdorazowy podmiot tych funkcji. Jednocześnie bezpośrednia transmisja telewizyjna wiernie służy tej wewnętrznej i powtarzalnej logice sportowego wydarzenia, respektuje podstawowy postulat możliwie najprecyzyjniejszej prezentacji akcji finalnej. Co jednak zrobić z martwym i nie uporządkowanym obszarem czasu oczekiwania na pojawienie się bohaterów spektaklu? W tym czasie zdarzenia na stadionie nie mają tak zdecydowanie jednoznacznej dynamiki rozwojowej, lecz pozostają w stanie entropii, wieloznacznego chaosu. Oczywiście najczęściej ten czas oczekiwania jest wypełniony drugorzędnymi działaniami sportowymi na stadionie, ale nie absorbują one zbytnio uwagi widzów, a także — co najważniejsze — realizatora transmisji. Jest on uwolniony od śledzenia dominującej akcji i jest to niewątpliwie wolność kłopotliwa, albowiem zmusza za wszelką cenę do narracji, której przedmiotem jest nie zorganizowana rzeczywistość. Jego przekaz staje się chaotyczny i niezborny, a próby łowienia pewnych wątków dramaturgicznych, stereotypowych sekwencji fabularnych zdarzeń rwą się co chwilę i zastygają w obojętnie przemijającym żywiole realności.

I w tym momencie telewizyjna transmisja bezpośrednia zbliża się do wiotkiej struktury happeningu. Ten nieoczekiwany styk obu zjawisk nie jest, rzecz jasna, dowodem ich całkowitej tożsamości. W happeningu obcujemy bezpośrednio z rzeczywistością, w TV natomiast z jej mechanicznie reprodukowanym obrazem, który organizuje się równolegle do rzeczywistości w montażowy dyskurs różnych planów i ustawień kilku kamer. W transmisji ponadto uwaga widza w tym obszarze martwym jest sterowana przez sprawozdawcę komentującego wydarzenia na trasie. Istotna jednak wydaje się estetyczna tożsamość zasady rządzącej tymi zjawiskami i polegającej na naturalnej spontaniczności potocznych procesów życiowych, która konstytuuje zarówno happening jak i opisany powyżej typ transmisji.

Nie chciałbym być źle zrozumiany: nie nawołuję do świadomych realizacji telewizyjnych happeningów (choć mogłoby to być doświadczenie pouczające). Sygnalizuję jedynie okoliczność, która decyduje o ogromnym powodzeniu bezpośrednich transmisji i to nie tylko wtedy, kiedy ich przedmiotem są sportowe widowiska. Bierze się ona z głodu wydarzeń rzeczywistych, które dokonują się na oczach widza, zaskakują go swoim przebiegiem i emocjonalnie porywają. Jest ich bardzo mało w telewizji, mimo iż dotykają głęboko autentycznych potrzeb ludzkich — indywidualnych i kolektywnych.

Ale to już zupełnie inny temat.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

KSIĄŻKA

MAŁE ŻYCIE MAŁYCH LUDZI

Rewolucja społeczna to także, a może przede wszystkim, radykalne zmiany obyczajowe. To obalenie anachronicznych kanonów obyczajowych, dawno nie przystających do rzeczywistości społecznej. Powszechnie wiadomo jednak, że świadomość obyczajowa zmienia się trudniej niż struktury ekonomiczne. Skądinąd też wiadomo, że fałszywej ambicji, pychy, braku wyrozumiałości i wrażliwości nie leczą żadne przewroty, albowiem są to cechy ludzkiego charakteru, indywidualne i własne.

Te nieskomplikowane oczywistości przypomina nam książka Ewy Ostrowskiej „Między nami niebotyczne góry". (Czytelnik, Warszawa, 1974 r.). Dwoje ludzi w tej mikropowieści niszczy sobie dokładnie wspólne życie w pogoni za mieszczańskim ideałem dorobku. Rezygnacja kobiety z udziału w życiu męża, przyjęcie na siebie funkcji żony i matki, uważanej za wzór dobre pięćdziesiąt lat temu, staje się klęską dwojga ludzi. Jest to bowiem wzór pozorny, sprowadzający się do roli gospodyni domu i opiekunki dzieci, w którym nie ma miejsca na przyjaźń i koleżeństwo równie niezbędne w małżeństwie, jak miłość. Wyrzeczenie się przez kobietę własnego zawodu obraca się przeciwko kochanemu mężczyźnie. Niedojrzała miłość mężczyzny wypala wszelkie lepsze uczucia w obojgu.

Dramat nieporozumienia obyczajowego, model życia sprzed bardzo wielu lat, przeniesiony we współczesność, musi sprawdzić się w nieuchronny sposób – zabić miłość. Można zadać sobie tylko pytanie, na ile obserwacje Ewy Ostrowskiej są marginesem obyczajowym a w jakim jeszcze zakresie problemem małżeńskim.

Ostrowska jest młodą pisarką, zastanowić musi jej powrót na stare podwórko obyczajowe. Oznaczałoby to bowiem, że relikty mentalności mieszczańskiej są w sferze obyczajowej silniejsze, niż jesteśmy skłonni sądzić po zmianach dokonanych w całości naszego życia.

Wiadomo, że dom prywatny jest na ogół obszarem zamkniętym, ale nie dla penetracji pisarskiej. Ostrowska sygnalizuje więc jakiś odcinek nie zakończonego nadal procesu obyczajowego.

Drugim aspektem jej książki są sprawy stare w miłości jak świat, niezmienne, tyleż destrukcyjne, co twórcze. Wielka miłość to zawsze zazdrość, to zachłanność i chęć posiadania całkowitego. To szlachetne ludzkie marzenie o spełnieniu się w drugim człowieku. To poszukiwanie prawdy absolutnej, nieskażonej żadnym fałszem. Egoizmem jednak nie otwiera się drzwi do miłości, albowiem prawdziwa miłość to kochanie drugiego człowieka, nie – siebie.

Książka Ostrowskiej odsłania małżeńskie piekiełko, ukryte za pozorem mebli na wysoki połysk, dywanów i tytułów dyrektorskich. Dom dwojga bohaterów „Między nami niebotyczne góry" pachnie znakomitą kuchnią, jest zadbany, błyszczy higieną. Brak w nim jednak higieny uczuć, a serca bohaterów są puste. Oboje nie rozumieją w sobie nawzajem **człowieka**. Nie mają żadnego marginesu dla wzajemnych słabości, wad, dla własnych postaci codzienności, najważniejszych w życiu powszednim. Bohaterce brakuje kobiecego oddania, mężczyźnie czułości i męskich zalet umysłu.

Jest to rzecz o niedostatku ludzkich uczuć od samego początku. Historia miłości chybionej, a nie jak zapowiada notka na skrzydełku obwoluty, powieść o wielkiej miłości zakończonej klęską z powodu wzajemnej nieustępliwości i braku dobrej woli obojga małżonków. Wielka miłość rozwiązuje wszystkie ludzkie spory sama. Sobie bowiem tylko rozkazuje i ulega, a ludzie którzy dorośli do wielkiej miłości, umieją jej też przeważnie bronić.

Książka jest napisana dobrze. Ostrowska potrafi wzbudzić w czytelniku sprzeciw wobec nie dobrego życia i niedobrej miłości. A to – bardzo wiele. Mało poza tym młodych pisarek tak swobodnie władających własnym warsztatem literackim. Pisarstwo Ostrowskiej jest kameralne i bardzo kobiece w dobrym tego słowa znaczeniu. Rozumiem przez nie autentyczność wypowiedzi artystycznej i świadome zachowanie swej „inności".

BARBARA NAWROCKA-DOŃSKA

MAGAZYNEK

NOTY O JANOSIKU

Podajemy jako pierwsi w kraju garść ścisłych not informacyjnych z życia słynnego zbójnika Jerzego Janosika. Nie wątpliwie ułatwią one studiowanie i zrozumienie tej Wielkiej Postaci, która już samym swoim profilem potrafiła twórczo zapłodnić Naszą Kinematografię. Oto one. Prosimy zanotować. 3 rok życia — złamanie pierwszej ciupagi. Ok. 4 roku życia — tzw. „spalony" czyli nieudany skok przez watrę. 10 rok życia — spotkanie z misiem, budzi się bilibo, 12 rok życia — silna chęć posiadania zegarka, rosnący gniew na niesprawiedliwość społeczną, 13 rok życia — początek służby w sprawie ludu góralskiego, pierwsze odparzenia. Od tego roku aż do daty zakończenia się postaci, brak ścisłych i pewnych danych. Ulubiony kolor — piwny. Nie zaleca się używania nazwiska w liczbie mnogiej.

WIERNY I MĄDRY PRZYJACIEL

Pewien polski reżyser filmowy posiada niesłychanie inteligentnego psa. Wskaźnik jego psiej inteligencji jest tak wysoki, że każdy kto odwiedza ów gościnny dom, podaje chętnie łapę mądremu zwierzęciu.

BRAK POROZUMIENIA

Niestety nie ujrzymy w tym roku na ekranach naszych kin wzruszającego momentu powrotu bocianów z zamorskich krajów. Powodem jest nieuzgodnienie terminów przez obie zainteresowane strony. Obecnie trwają uzgadniania terminu jesiennego odlotu ale to już nie będzie to samo.

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina..." K.I.G.

DUMNE PLANY

W Kotowie nad Grobeluchą przystąpiono do prac nad marmurowym obeliskiem, symbolizującym ciepłe uczucia większości mieszkańców miasta i okolicy do Twórców Polskich Seriali Telewizyjnych. Zaczęte już prace musiano jednak z żalem przerwać, gdyż marmur okazał się bardzo twardy i w ogóle niewdzięczny w obróbce.

CIOS W GRAFOMANIĘ

W Ząbkach Górnych nie zidetyfikowany grafoman wypisywał na ścianach toalety kina „Stylowy" złośliwe wierszyki pod adresem aktorów filmowych. Zakłopotani ojcowie miasta po namyśle zlikwidowali toaletę męską, stawiając tym samym nie zidentyfikowanego grafomana w niezmiernie głupiej sytuacji, pod warunkiem oczywiście, iż jest on mężczyzną

MĘSKIE PRZYRZECZENIE

„Nie będziemy chować głowy w piasek!" — obiecują w ciekawym liście do redakcji „Małego Kina" pracownicy Miejskiego Przedsiębiorstwa Pogrzebowego. Dziękujemy za list i życzymy wielu wesołych, czarno-białych filmów.

OBYCZAJE INNYCH NARODÓW

Gaskończycy to miły i wesoły naród. Wystarczy na przykład, by w telewizji szedł jakiś zabawny program a Gaskończycy już cieszą się i weselą. Ale gdy tylko na małym ekranie pojawia się poważniejszy temat to Gaskończycy oglądają go poważnie i bez żartów.

POD NIEBEM ARGENTYNY

W argentyńskiej prowincji Robos padała ostatnio z nieba gryczana kasza. Argentyńczycy żartowali sobie, że gdyby jeszcze posypało skwareczkami i polało zsiadłym mlekiem, to zaprosiliby filmowców z dalekiej Polski na wspaniałą ucztę. Przyroda nie zna się jednak na żartach i poza wspomnianą już kaszą nic więcej nie spadło w Argentynie.

Powiększenia

WIERSZYK Z DEDYKACJĄ

Nie podobał się swego czasu „Powiększeniom" wierszyk z **„Informatora"** — organu załogi Pabianickich Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Bojowników Rewolucji 1905 roku — „Pamotex" w Pabianicach. I oto „Informator" odpowiedział rymowanką Sławomira Kubery.

Gdy się oceniać chce słowa proste
i nieporadne — wspomnieć nie wadzi,
że jak to mówią — pilnik choć szorstki,
ale szorstkością swą — właśnie gładzi.
Gdyby Ciesielski zrządzeniem losu
awangardowo pisać miał,
pewnie by wtedy go pochwalono,
choć nikt by go nie rozumiał.

Bardzo cienką aluzję pojęliśmy. Ale tu nawet awangarda nie pomoże. Niestety.

BŁYSKAWICZNA INFORMACJA

Jedna z gazet warszawskich podała w piątek — 17 maja br. — na kolumnie sportowej następującą wiadomość:
„W piątek odbyło się posiedzenie prezydium zarządu PZPN, poświęcone ustaleniu 22-osobowej kadry piłkarzy...".
To się nazywa szybkość!

W SPRAWIE CYGANA

Wspomniany już **„Informator"** pabianickiego „Pamotexu" pisze w artykule pod tytułem: **„CZY NAPEWNO SŁUSZNE":**
„Jest takie staropolskie przysłowie, o tym, jak kowal zawinił, a powiesili ślusarza...".
Na pewno niesłuszne, bo to wcale nie chodziło o ślusarza.

BRAK SZCZĘŚCIA

Stanowczo cytowany już **„Informator"** załogi pabianickiego „Pamotexu" nie ma szczęścia do poezji. Oto autor, ukrywający się pod literami **„J. K."** postanowił wydać rymowaną walkę marnotrawstwu i bałaganiarstwu. Spłodził wierszyk pt. **„Odpady... Odpady!"**. Cytujemy fragment tego utworku:

„Czy już na to nie ma rady?
Dobrze spojrzeć — to odpady
znaleźć można byle gdzie —
Nawet w „przybytku" WC...

Może ktoś nie chce uwierzyć,
Ale to, to wszędzie leży...
Marnotrawstwo oczywiste...
Gdyby było to choć czyste."

EROS W POEZJI EROS W POEZJI EROS W POEZJI

ADAM MICKIEWICZ

SPOTKANIE SIĘ PANA TADEUSZA Z TELIMENĄ I ZGODA UŁATWIONA ZA POŚREDNICTWEM MRÓWEK

...Nieszczęściem Telimena siedziała śród dróżki;
Mrówki, znęcone blaskiem bieluchnej pończoszki,
Wbiegły, gęsto zaczęły łaskotać i kąsać,
Telimena musiała uciekać, otrząsać,
Na koniec na murawie siąść i owad łowić.
Nie mógł jej swej pomocy Tadeusz odmówić.
Oczyszczając sukienkę, aż do nóg się znizył,
Usta trafem ku skroniom Telimeny zbliżył...
„Co pan robi? Nie można! niech pan mrówki łowi!
Panowie tylko prosić są zawsze gotowi,
A mnie tu mrówki gryzą". „Gdzie?" „Koło kolana".
Tadeusz ręką sięgnął – już mrówka złapana.
„Czy jeszcze? „Pan się pyta, a mrówki zuchwałe
Coraz to wyżej idą!" Za pończoszki białe
Sięgać musiał tym razem bohater szczęśliwy.
Że jednak krew nie woda, majtki nie pokrzywy
Tadeusz sięgnął głębiej, gdzie w cieniu ukryte
Rosną wstydliwe włosy, w pierścienie spowite.
Telimena syknąwszy padła na murawę.
Tadeusz, porzuciwszy na mrówki obławę,
Otoczył ją ramieniem, ku sobie przycisnął.
Ogień tajemnych pragnień w oczach jego błysnął,
Ustami ust jej szukał – znalazłszy, w zapale
Rozpalonymi wargami miażdżył je zuchwale.
Telimena na razie, śmiałością zdumiona,
Odepchnąć chciała młodzieńca ramiona,
Sił jednak i oddechu w piersiach jej nie stało:
Dreszcz rozkoszy znienacka objął całe ciało,
Ubezwładnił jej członki, rzucił krew do twarzy.
A widząc, że Tadeusz na wszystko się waży,
Uległa. Lecz, że wiele doświadczenia miała:
„Ach! jeszcze kto zobaczy" – z cicha wyszeptała.
I spłoszona a drżąca, na wpół pomieszana,
Między omdlałe nogi wpuściła młodziana,
Odrzuciwszy falbany jednym śmiałym ruchem.
Jak klin, kiedy go z wierzchu uderzą obuchem.
Tak wbił się pan Tadeusz bez pomocy ręki
W ukryte w cieniu spódnic Telimeny wdzięki;
A czując, że jej piersi wznoszą się jak fala,
Wzrok namiętny krew młodą w żyłach mu rozpala;
Nie cofa się, lecz dąży bez zastanowienia
Do miejsca, które zwie się szałem zapomnienia.
Jak klacz, kiedy jej jeździec wbije w bok ostrogę,
Nagle rzuca się naprzód, bez względu na drogę,
Tak też i Telimena, jak ostrogą spięta,
Rzuciła naprzód ciałem, a białe rączęta
Wkoło Tadeusza owinęła szyi.
Równocześnie jej nogi, jak pierścienie żmii,
Skrępowały młodziana tak, że się zdawało,
Iż razem obydwoje jedno tworzą ciało.
Pan Tadeusz był młody, zdrów i wytrzymały,
Przy tym zbyt wypoczęty, więc swoje zapały
Z rozkoszą w Telimenie utopić był gotów;
A że przyszedł do tego prawie bez kłopotów,
Nie poskąpił też za to ochoty i siły.
Więc go też jej rączęta jak węże spowiły
I pulchne białe nogi ścisnęły jak kleszcze,
Usta zaś wyszeptały: „Tadeuszu jeszcze!"
Zaczął się nad nią znęcać jak kogut nad kurą,
Lecz mu po małej chwili oczy zaszły chmurą,
Oddechu brakło w piersiach, więc zrezygnowany,
Dając raz jeszcze nurka pomiędzy falbany,
Zmęczony, na miękkim Telimeny łonie
Legł, skrywszy na jej piersi rozpalone skronie.
Telimena, widząc to, nie zrezygnowała,
A że prócz doświadczenia spryt i rozum miała,
Zatem drażniąc ustami Tadeusza wargi,
Szepnęła pieszczotliwie kilka słówek skargi:
„Wszak to było dla ciebie ,a co dla mnie będzie?"
I mając swoje chęci jedynie na względzie,
Jęła go palić wzrokiem, uśmiechem czarować,
Wpiła w niego swe wargi, na koniec zemdlona
Przycisnęła namiętnie młodzieńca do łona.
Poznał tedy Tadeusz, z kim ma do czynienia.
Co znaczy dobra szkoła obok doświadczenia.
Już mu teraz pomogła własnymi rękami,
Własnym ciałem – prócz tego czułymi słówkami
Błagała, by rozkoszy nie popsuł pośpiechem:
„Bo przecież noc nie zając" – mówiła z uśmiechem –
Nie ucieknie! Wszak prawda, ty moje kochanie?"
Jako to nie być czułym na takie wezwanie!
Jak Moskal, gdy zagrają „Boże caria chrani",
Tak rzucił się Tadeusz. Telimena w dani
Powtórną niosła z młodzieńczej ochoty ofiarę.
Gdyby się teraz hrabia zjawił na chwil parę,
Miałżeby co szkicować: Ponad spódnic zwoje
Sterczało rodzielonych białych kolan dwoje;
Niżej, w falban, koronek napiętrzonej górze,
Nurza się pan Tadeusz niby w białej chmurze,
Pod nim się Telimena zadyszana wije,
Włos rozwiany, w nieładzie w murawie się kryje.
Pierwszy powstał Tadeusz, wnet ubiór poprawił,
Przez chwilę jeszcze oko Telimeny bawił,
Która leżąc omdlała i z sił wyczerpana,
Ledwo z jego pomocą wstała na kolana.
Wnet poprawiła włosy, wstążki i falbany,
A widząc, że Tadeusz nieco zadumany,
W te do niego bez gniewu ozwała się słowa:
„Sądzę, że w tajemnicy wszystko pan zachowa.
Zwłaszcza że i czyn pański był nieco zuchwały.
Mówię to nie dlatego, by prawić morały,
Lecz postąpić w ten sposób z kobietą uczciwą,
Może nieco zalotną, czułą i wrażliwą.
Korzystać z jej niemocy, wyzyskać jej słabość,
To niegodne, mój panie!... Jednak wiek twój młody,
Dzień gorący i mrówki, które do swobody
Szerokie dały pole, biorąc pod uwagę,
Przebaczam... Cóż mam robić?... Kto taką odwagę
Wobec damy okazał, jak pan to uczynił,
Ten tylko w jej oczach zyskał, nie zawinił".
Kiedy ją Tadeusz ścisnął za kolana,
Grożąc palcem, wyrzekła: „Oj, łotrzyk z waćpana!"

Utwór powyższy ukazał się drukiem po raz pierwszy kilkadziesiąt lat temu w czasopiśmie „Mucha" (nr 23 z 1915 roku). Znane są również broszurki z tym apokryfem antydatowane na początek wieku.

Jest to apokryf czyli tekst przypisywany błędnie jakiemuś autorowi. W tym wypadku chodzi oczywiście o **Adama Mickiewicza**. W rzeczywistości autorem „Mrówek" jest warszawski humorysta, **Antoni Orłowski**, pisujący pod pseudonimem „Krogulec".

Tekst ten posiada dość bogatą historię, wiele było wokół niego polemik, autora atakowano za szarganie świętości i pornografię. Historia typowa dla każdej epoki. Przez całe lata „Mrówki" krążyły w maszynowych odpisach, w tym roku po raz pierwszy opublikowało go wydawnictwo „Ossolineum" w uroczej książce **Romana Kalety „Sensacje z dawnych lat"**.

Roman Kaleta pisze: **nie użył falsyfikator ani jednego nieprzyzwoitego wyrazu, scena odmalowana została na wesoło, bez „chorobliwego erotyzmu" wprowadzonego do literatury polskiej — zdaniem wielu ówczesnych moralistów — przez Gabrielę Zapolską, Przybyszewskiego, Kazimierza Przerwę-Tetmajera, przez Gustawa Daniłowskiego, przez Boya i przede wszystkim przez Żeromskiego".** Dalej pisze Kaleta w komentarzu do „Mrówek", że nie takie przygody miłosne frapują czytelników we współczesnej beletrystyce. Roi się — pisze Kaleta — od takich z pozoru gorszących scen w powieści współczesnej. Wymienia też — dziwnym trafem — **„Idzie skacząc po górach" Andrzejewskiego, „Kamienne tablice" Żukrowskiego, „Inny kraj" Baldwina i „Układ" Kazana**, czyli powieści, których fragmenty drukowaliśmy w cyklu **„Sex w literaturze"**.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 1096. C-4. Nr indeksu 37006